Marcin Zaremba: **Powroty 1945 – inne spojrzenie**

Ząbkowska: wczoraj, dziś, jutro ♦ Jan Karski – bohater nieznany

O Adamie Hanuszkiewiczu: Kucówna, Olbrychski, Golimont

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

Warszawski Magazyn Ilustrowany

nr 1-2 (2261-2), styczeń-luty 2014

cena 6,50 zł, (w tym 8% VAT)

Od kaplicy Moskiewskiej do Polskiej Akademii Nauk

– historia miejsca

ISSN 0039-1689

www.prochnik.pl

Adam Feliks
PROCHNIK

W numerze:

4 Kronika miesiąca

ZĄBKOWSKA:
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO...

6 Historia niesentymentalna – Jarosław Zieliński

7 Monopol na sukces – Ewa Kielak Ciemniewska o tradycji i przyszłości Konesera

POWROTY 1945

12 Niejednoznaczny pejzaż powojnia – z historykiem Marcinem Zarembą rozmawia Sebastian Pawlina

14 Furmanką do Warszawy – Jacek Głuski

17 Krótka radość – wspomnienia Marka Frankiewicza

ROK JANA KARSKIEGO

18 Emisariusz z Warszawy – z Ewą i Maciejem Wierzyńskimi rozmawia Jarosław Górski

PAŁAC STASZICA I PAN

22 Tajemnice kościoła obserwantów – Olga Guzik

25 Pałac przyjaciół nauki – Ryszard Mączewski o historii Pałacu Staszica

29 Narodowi użyteczni – Ewa Sośnicka-Wojciechowska

31 Archiwum wiedzy i wzruszeń – Joanna Arvaniti o Archiwum Polskiej Akademii Nauk

KULTURA

35 Miał w sobie coś z Pigmaliona – z Zofią Kucówną o Adamie Hanuszkiewiczu rozmawia Rafał Dajbor

36 Odkrył dla nas Norwida – rozmowa z Danielem Olbrychskim

38 20 lat wokół Hana – Andrzej Golimont o przyjaźni i współpracy z Adamem Hanuszkiewiczem

39 Z notatnika miastoluba Marii Terleckiej

40 Utracone kolekcje – Roger Piaskowski

44 Notatnik

48 Strefa WolnoSłowa – Anna Mikołajczyk

50 Varsaviana

52 Preteksty do wspomnień – fragmenty książki Krystyny Kolińskiej

54 Warszawskie klimaty – zabytki, książki, nagrody

56 Listy od Czytelników

57 W styczniu „Stolica" pisała

58 Warszawa na starej fotografii

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl **www.warszawa-stolica.pl**

Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe. 180 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl www.warszawa.pl

STOLICA – **Poprzednie numery Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20, w księgarni im. Bolesława Prusa przy Krakowskim Przedmieściu 7 i Księgarni Naukowej przy ul. Solidarności 83/89**

Adres Redakcji:
al. Stanów Zjednoczonych 23/1,
03-947 Warszawa
tel. 22 741-01-30, tel./faks 22 619-01-44
Wydawca: EKBIN
redakcja@warszawa-stolica.pl
Redaktor naczelna: Ewa Kielak-Ciemniewska
Zastępca redaktor naczelnej: Jarosław Zieliński
Sekretarz redakcji: Dorota Czermińska
sekretarz@warszawa-stolica.pl
Asystentka sekretarz redakcji: Anna Kalinowska
info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Marek Bieńczyk, Grzegorz Buczek, Elżbieta Ciborska, Anna Cymer, Agnieszka Czapla, Paweł Elsztein, Jacek Fedorowicz, Jacek Głuski, Tadeusz Górny, prof. Kwiryna Handke, Tatiana Hardej, Andrzej Kałuszko, Krystyna Kolińska, Katarzyna Komar-Michalczyk, Michał Krasucki, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Marcin Mierzejewski, Krzysztof Mordyński, Jacek Olecki, Piotr Otrębski, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Norbert Piwowarczyk, Ewa Solińska, Paweł Stala, Janusz Sujecki, Jan Śpiewak, Tadeusz Wł. Świątek, Maria Terlecka.
Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, Archiwum: Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY

Promocja: Paweł Ciemniewski, promocja@warszawa-stolica.pl
Skład i łamanie: Sebastian Bieganik
Druk: Zakłady Graficzne TAURUS
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.

© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone.

ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl
Zamówienia na prenumeratę „Stolicy" w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com. pl

- W grudniu Ratusz ogłosił, że w 2014 r. powstanie dla cyklistów 60 km dróg i pasów na jezdni. Warszawskie ścieżki rowerowe będą stopniowo łączone w sieć. Podsumowano też działanie systemu Veturilo w 2013 r. Okazało się, że rowery wypożyczano 1,8 mln razy, a liczba użytkowników sięgnęła 150 tysięcy.
- Po dworcach kolejowych w stolicy remontowane będą te podwarszawskie – m.in. w Piasecznie, Pruszkowie, Piastowie i Legionowie. Niektóre z nich to popadające w ruinę zabytki – jak dworzec w Pruszkowie.
- 13,1 mld zł dochodów, 14,2 mld zł wydatków, w tym 2,9 mld zł na inwestycje – głównie na II linię metra. Tak wygląda budżet Warszawy na 2014 r., który 13 grudnia 2013 r. przyjęli radni. „Budżet jest skrojony pod najważniejsze potrzeby warszawiaków. Komunikacja publiczna, edukacja, opieka społeczna, a nie jakieś aquaparki czy inne fanaberie" – podsumowała prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz.
- Mazowsze nie dostanie zniżki na tzw. janosikowe. Po buncie marszałków pozostałych 15 województw Senat zmienił decyzję Sejmu. Przywrócił pełną wysokość przyszłorocznego „janosikowego" dla Mazowsza. Zamiast zniżki województwo otrzyma pożyczkę, którą będzie musiało oddać z procentem.
- Rząd zapewnił, że będą pieniądze na dokończenie południowej obwodnicy Warszawy. Dzięki temu trasa, która teraz urywa się na ul. Puławskiej, do 2019 r. ma zostać przedłużona przez Ursynów, Wilanów i Wawer do wylotówki na Lublin. Wstępnie koszty budowy tego odcinka są szacowane na 6,7 mld zł.
- 19 grudnia zostały podpisane umowy, w ramach unijnej inicjatywy JESSICA, na pożyczki, dzięki którym zostaną odnowione dwa zabytkowe budynki Uniwersytetu Warszawskiego – pałac Tyszkiewiczów-Potockich przy Krakowskim Przedmieściu i Łaźnia Teodozji Majewskiej przy Bednarskiej. Rewitalizacja obydwu budynków potrwa półtora roku.

Wszyscy na lód!

Fot. A. Leszkowska

Oprócz Torwaru, Stegien i ślizgawek w poszczególnych dzielnicach mieszkańcy Warszawy mają w tym roku do dyspozycji dwa nowe lodowiska – na Rynku Starego Miasta i na Stadionie Narodowym.

Ślizgawka na Rynku została otwarta tuż przed świętami Bożego Narodzenia i wciąż cieszy się dużym powodzeniem. Zwłaszcza wieczorami, gdy dodatkowej przyjemności dostarcza urokliwa zimowa iluminacja. Zmęczeni jazdą mogą się pokrzepić ciepłym jedzeniem i gorącymi napojami w stojących obok lodowiska budkach. Wstęp na lód jest darmowy, na miejscu działa wypożyczalnia łyżew (7 zł/godz.).

Na Stadionie Narodowym, obok największego sztucznego lodowiska w kraju, pojawiły się też *skatepark* i boisko do badmintona oraz strefa odpoczynku (*chill out zone*). W piątkowe i sobotnie wieczory można się ślizgać przy muzyce puszczanej na żywo przez didżeja. Chętnych jest tak wielu, że organizatorzy zachęcają do rezerwacji biletów na stronie sklep.stadionnarodowy.org.pl. Na to lodowisko wstęp jest płatny, warto więc zwrócić uwagę na różne rodzaje biletów rodzinnych. Oczywiście jest też wypożyczalnia łyżew. Korzystanie z pozostałych atrakcji kosztuje 5 zł (bez ograniczeń czasowych). W niedzielne poranki odbywa się nauka jazdy na łyżwach dzieci do 12. roku życia. Władze stadionu obiecują, że gdy tylko pojawi się śnieg, na błoniach zostanie otwarta bezpłatna górka saneczkowa.

Lodowisko na stadionie będzie czynne do 20 lutego, natomiast lodowisko na Rynku Starego Miasta aż do 15 marca. Zachęcamy do ślizgania się, w końcu to świetna zabawa dla wszystkich – niezależnie od wieku i umiejętności. (ak)

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI. DOJEŻDŻAMY. TEL. 22 622 11 54

Festiwal Światła w Wilanowie

Od 4 do 6 stycznia warszawiacy mieli okazję podziwiać wspaniałe iluminacje podczas II Królewskiego Festiwalu Światła w Wilanowie. Na fasadzie pałacu wilanowskiego zaprezentowano barwny trójwymiarowy *mapping* – przy dźwiękach muzyki Szostakowicza, Haendla i Johanna Pachelbela frontową elewację budynku porastała bujna roślinność, w oknach ukazywały się przebiegające postacie, przed głównym wejściem konno paradowali żołnierze z armii króla Jana III. Pałac nagle ożył – okna i drzwi zmieniały miejsce, do rzeźbionych kwiatów zlatywały się motyle, a cała fasada mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Podobne widowisko można też było oglądać obok – na kościele św. Anny. Atrakcje czekały również w pałacowym ogrodzie – do zanurzenia się w fantastyczny świat Alicji w Krainie Czarów zapraszał Labirynt Światła.

Na czas festiwalu kolorową iluminację zyskały także mauzoleum Potockich na przedpolu pałacu, Świątynia Opatrzności Bożej oraz nieukończony ratusz koło plaży Wilanów. Na plaży i naprzeciwko świątyni odbywały się koncerty, wystąpili m.in. japoński awangardowy trębacz jazzowy Toshinori Kondo, zespół rockowy Silesian Blues Band i orkiestra laptopowa pod kierunkiem Krzysztofa Cybulskiego. Festiwal zakończył się pokazem sztucznych ogni.

Wilanowska impreza – jak poinformował Urząd Dzielnicy – zgromadziła prawie 200 tys. osób. Ta ogromna frekwencja zaskoczyła chyba samych organizatorów, co niestety najbardziej widoczne było podczas inauguracji festiwalu przed pałacem wilanowskim. Tłum z trudem posuwał się przez bramę, a brak jakiejkolwiek organizacji ruchu utrudniał wydostanie się z parku. Mamy nadzieję, że podczas kolejnych edycji nie dojdzie już do takich sytuacji i widzowie bez stresu będą się mogli zachwycać widowiskiem. Na pocieszenie dla tych, którzy nie dotarli na festiwal, Labirynt Światła i Ogród Północy pozostaną w pałacowym parku do połowy marca. (ak)

- Na święta drogowcy sprezentowali warszawiakom nowy ekspresowy dojazd do południowej obwodnicy Warszawy. Przez cały 23 grudnia trwały odbiory łącznika między węzłem Salomea w Alejach Jerozolimskich a węzłem Opacz na obwodnicy. Nadzór budowlany sprawdzał jeszcze dokumentację. O północy auta pojechały kluczowym dla tej części Warszawy odcinkiem.
- Z danych udostępnionych przez urząd miasta wynika, że dzięki fotoradarom umiejscowionym w 17 punktach Warszawy w 2013 r. nałożono na kierowców prawie 66 tys. mandatów na kwotę ponad 21 mln zł. To aż o 15 mln więcej niż w 2012 r.
- Na ciągnącej się ponad dekadę budowie wilanowskiego ratusza nastąpiła kolejna przerwa w pracach. Tym razem powodem jest upadłość generalnego wykonawcy – lubelskiej firmy Henpol. Henpol miał zakończyć prace przy ratuszu na przełomie III i IV kwartału 2014 r. W tej sytuacji zapowiadanego harmonogramu raczej nie da się dotrzymać.
- Od 1 stycznia rodzice przynajmniej trojga dzieci uzyskali prawo do zniżkowych rocznych biletów komunikacji miejskiej dla swego potomstwa. Rodzina musi mieszkać w Warszawie i tu rozliczać się z podatków; bilet, kosztujący 99 zł, otrzymują dzieci do 20. roku życia.
- Prawie 100 tys. osób zgromadziła, według stołecznego Ratusza, sylwestrowa zabawa przy Stadionie Narodowym. Podczas trwającego 15 minut pokazu sztucznych ogni odpalono 2500 pirotechnicznych bomb kulowych i cylindrycznych.
- 6 stycznia most Poniatowskiego obchodził 100. urodziny. Most powstał w latach 1905-1913 (w 1914 r. został oddany do użytku) według projektu inżynierów Mieczysława Marszewskiego i Wacława Paszkowskiego, autorem architektury mostu i wiaduktu był zaś Stefan Szyller (twórca m.in. budynków Politechniki Warszawskiej). Razem z mostem zbudowano wiadukt nad Powiślem, będący przedłużeniem Alej Jerozolimskich.

Ząbkowska: wczoraj,

Fot. E. Wunderlich/MHW

Ulica Ząbkowska około 1918 r.

Historia niesentymentalna

Jarosław Zieliński

Rewaloryzowany fabryczny zespół Konesera jest wpisany w przestrzeń ulicy Ząbkowskiej, pełnej zabytków architektury z XIX i XX wieku, ale istniejącej już od około sześciu stuleci

Już w średniowieczu późniejsza Ząbkowska była odcinkiem traktu wiodącego przez Ząbki na Litwę. Przy narożniku ulicy Wołowej (obecnie południowy róg Targowej) w XVIII wieku stał drewniany ratusz jurydyki Skaryszew. Spis nieruchomości na rok 1808 wymienia przy Ząbkowskiej 13 posesji wypełnionych zabudowaniami drewnianymi. Do 1826 r. część posesji została podzielona na dwie lub trzy parcele, toteż ówczesny spis rejestruje już 24 zabudowane posesje. Pierwszy w pełni murowany dom postawiono przy Ząbkowskiej dopiero w latach 1865-1866 dla Elżbiety Podbielskiej (obecny nr 14). Pośród posesorów coraz liczniej byli reprezentowani Żydzi. W połowie XIX wieku do starozakonnych należało 11 parcel z 23, a w 1868 r. – 13 z 29.

18 czerwca 1868 r. w oficynie na posesji Wardaków przy Targowej 62 wybuchł pożar, który niesiony silnym wiatrem strawił 29 budynków po obu stronach

ciąg dalszy na stronie 8

dziś, jutro…

Wizualizacja

Budynek o nazwie Rektyfikacja będzie w całości przeznaczony na cele kulturalne

Monopol na sukces

Ewa Kielak Ciemniewska

Warszawska Wytwórnia Wódek Koneser, będąca następcą wybudowanego w 1897 r. w tym miejscu rosyjskiego zakładu produkcyjnego i składu skarbowego oraz prywatnego Towarzystwa Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu, jest jedną z najciekawszych pozostałości XIX-wiecznego budownictwa przemysłowego Warszawy i stanowi perłę w zabytkowej zabudowie po praskiej stronie Wisły. W perspektywie ulicy Ząbkowskiej już z daleka rzucają się w oczy zabudowania z charakterystycznej, pokrytej patyną czerwonej cegły, tworzące kwartał objęty ulicami Markowską, Białostocką i Nieporęcką, do którego prowadzą dwie zabytkowe, szeroko otwarte kute żeliwne bramy. Za cztery lata po ich przekroczeniu wejdziemy w inny niż dziś świat – opustoszałe poprzemysłowe obiekty zatętnią życiem. Będą tu lofty, różnorodne markowe sklepy i usługi, restauracje, bary, kawiarnie. Powstaną nowe biura i budynki mieszkalne. Znane są plany zagospodarowania tego terenu i przeznaczenie poszczególnych obiektów. Prace już się rozpoczęły

Fot. Z. Marcinkowski/IS PAN

Ulica Ząbkowska, około 1912 r.

Ząbkowskiej w obrębie wału. W ciągu zaledwie czterech godzin ulica zamieniła się w dymiące zgliszcza, pośrodku których sterczały jedynie osmalone kominy. Dach nad głową straciło około 100 rodzin. Pożar przetrwała tylko istniejąca po dziś dzień kamieniczka pod numerem 14 i drewniany dwór na rogu Targowej. Dwa lata później rozpoczął się żywiołowy proces odbudowy ulicy. Mało majętni kupcy i rzemieślnicy wystawili skromne domy, tym razem już wyłącznie murowane. Do 1871 r. wzniesiono m.in. zachowane do dziś piętrowe kamieniczki pod numerami 9, 11 i 13, a kolejne w ciągu następnej dekady. Wyrażona niską zabudową prowincjonalność ulicy pozostała na zawsze jej stygmatem, ale – począwszy od przedostatniej dekady XIX wieku – zaczęły się tu pojawiać większe kamienice. Jedną z pierwszych była czynszówka Szmula Kaliny z 1880 r. (nr 7), początkowo trójkondygnacyjna. Tę samą wysokość zachował do dziś dom Władysława Sikorskiego z 1890 r. pod numerem 3. Obok małego, piętrowego domu z mansardami pod numerem 9 istniała murowana brama, przez którą wchodziło się na obszerny bazar Wiktora Dzierżanowskiego sięgający frontem posesji przy Targowej 66, gdzie obecnie znajduje się Pasaż Wileński. Targ istniał jeszcze po II wojnie światowej. Założony w 1882 r., popadł w zupełne zapomnienie, w odróżnieniu od nieznacznie młodszego, słynnego bazaru Juliana Różyckiego. Bazar ten łączył się z Ząbkowską tylko wąską odnogą – posesją nr 10, na której ustawiono bramę i flankujące ją dwa małe budyneczki.

Nowym impulsem do rozwoju ulicy stała się w 1897 r. budowa kompleksu przemysłowego wytwórni wódek i jej składów skarbowych, znanego obecnie pod nazwą Koneser. Tuż przed I wojną światową przy Ząbkowskiej zaczęto budować niemal wielkomiejskie czteropiętrowe czynszówki, m.in. dom nr 2 z narożną wieżyczką i dom nr 37 – ukształtowany na podobieństwo średniowiecznego zamku. Po 1908 r. na pokrytej „kocimi łbami" i oświetlonej gazem ulicy położono tory tramwajowe. W latach 20. największą inwestycją przy Ząbkowskiej było uruchomienie Mennicy Państwowej w zabudowaniach

ciąg dalszy na stronie 10

koneser

Po upadku zakładów w latach 90. XX wieku pozostał prawie pięciohektarowy teren zabudowany obiektami, częściowo otoczonymi ochroną przez Konserwatora Zabytków. Z Koneserem łączą się tradycje warszawskiego przemysłu i przylgnęła doń legenda nawiązująca do magicznej Pragi i artystów, którzy dekadę temu znaleźli tutaj gościnę. Poprzemysłowe tereny, zgodnie z modą i praktyką rozpowszechnioną w końcówce ubiegłego stulecia w miastach europejskich, przypisywano kulturze i takie też były plany wobec Konesera. Zamierzenia władz miasta, by zakupić kompleks obiektów i utworzyć praskie centrum kultury, nie doczekały się jednak – z przyczyn budżetowych – realizacji. Z tą spuścizną i z oczekiwaniami warszawiaków musiał się zmierzyć nowy właściciel – firma BBI Development. Zobowiązanie do pieczołowitego odnowienia starej zabudowy i nadania jej nowych funkcji przy zachowaniu praskiego kolorytu miejsca okazało się dla zarządu spółki i projektantów opracowujących plan zagospodarowania terenu zadaniem wielce inspirującym. Pierwszy zrewitalizowany i oddany do użytku obiekt biurowy – budynek dyrekcji – został bardzo wysoko oceniony w środowisku konserwatorskim i otrzymał jako jedyny budynek warszawski wyróżnienie w kategorii obiektów przemysłowych w ogólnopolskim konkursie Zadbane Zabytki, organizowanym przez Generalnego Konserwatora Zabytków, oraz nagrodę Budowa Roku („Stolica" pisała szerzej o tym obiekcie w artykule Janusza Paca „Miasteczko Koneser", nr 5/2012 oraz na www.warszawa-stolica.pl.) – Budynek ten – mówi szef biura projektowego Juvenes Projekt Krzysztof Tyszkiewicz – był dla nas poligonem doświadczalnym. Nauczyliśmy się pewnych technologii, które w tej chwili wdrażamy w kolejnych zabytkowych obiektach, tak by uzyskać jednolity charakter całego zespołu i zachować jak największą wierność obrazowi przeszłości.

Budynek mieszkalny Wytwórnia będzie miał 100 lokali o powierzchni od 35 do 170 m^2

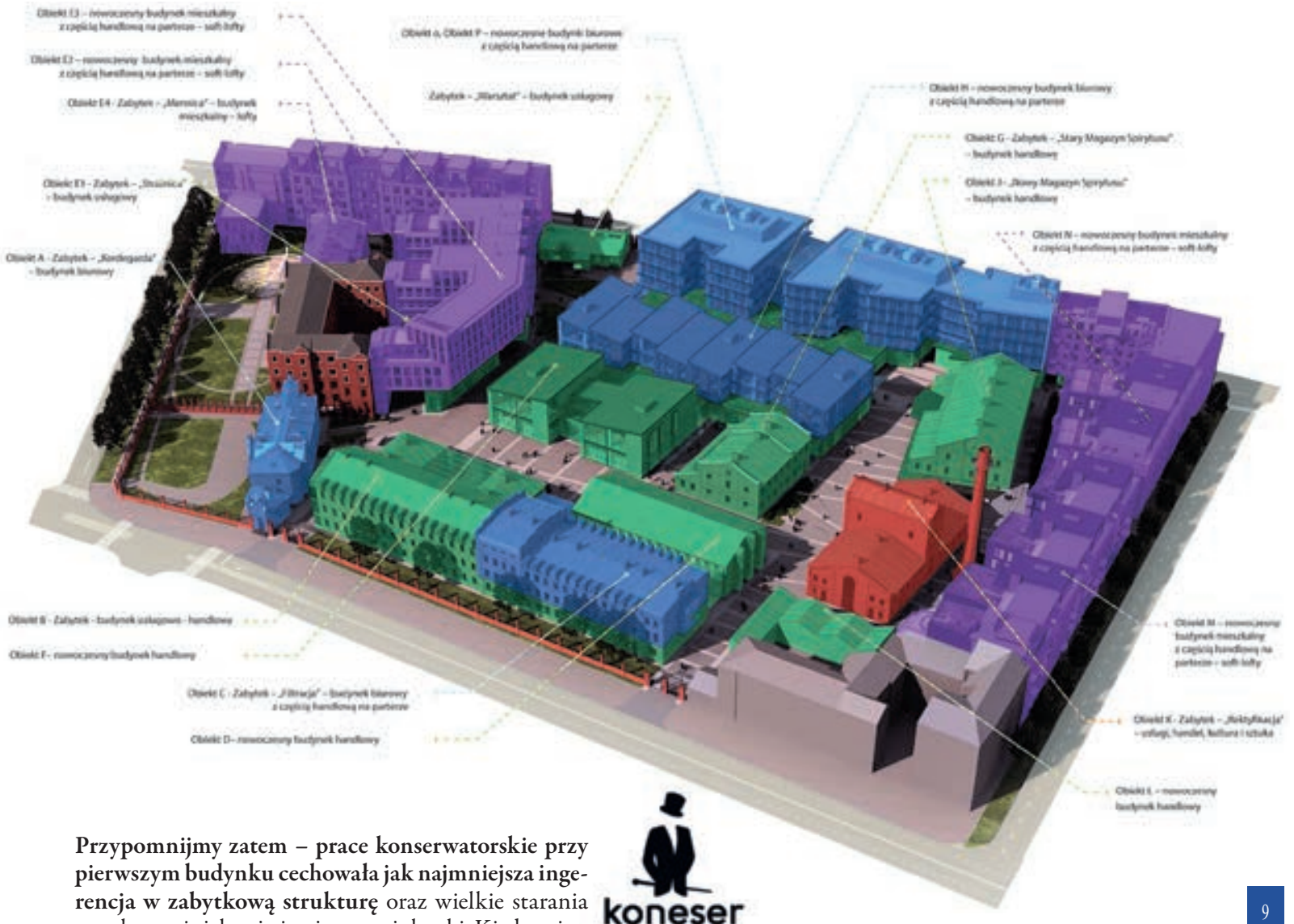

Wizualizacja

Przypomnijmy zatem – prace konserwatorskie przy pierwszym budynku cechowała jak najmniejsza ingerencja w zabytkową strukturę oraz wielkie starania o zachowanie jak najwięcej ze starej tkanki. Kiedy zniszczenia na to nie pozwalały, dokładnie – zgodnie z pierwowzorami – odtwarzano brakujące elementy, zwłaszcza drewniane drzwi i okna, a także np. okucia, oraz dach, który pokryto blachą cynkowo-tytanową układaną klasycznie według specjalnego schematu, tak żeby wszystko wyglądało jak najbardziej autentycznie. Teraz w ten sam sposób prowadzone są prace przy niewielkim budynku Mennicy, którego wnętrza zostają przekształcone w imponujące przestronne lofty. Kameralny budynek z trzema klatkami schodowymi zapewni prywatność wejścia do mieszkań na każdej kondygnacji.

Koncepcję zagospodarowania, plany architektoniczne i teren pod inwestycję przygotowywano od kilku lat. Wyburzono zarówno zrujnowane i nieporadnie modyfikowane obiekty przedwojenne, jak i zabudowania z lat 70. niemające wartości zabytkowych ani architektonicznych. Dziesięciu zachowanym obiektom zabytkowym przyznano już główne funkcje użytkowe; ich adaptacja realizowana będzie etapami (patrz makieta). Rozpoczęto też budowę pierwszego budynku „softloftowego" (na makiecie budynki mieszkalne są zaznaczone na fioletowo). Nazwę Wytwórnia odziedziczył on po teatrze, który działał w tym miejscu przez wiele lat i który był jednym z istotnych elementów tworzącego się artystycznego wizerunku Konesera. Powstaje więc całkiem nowy, o zróżnicowanej wysokości – od trzech do sześciu kondygnacji – obiekt z garażem podziemnym, z cegłą licową na elewacji, z dużymi przeszkleniami zapewniającymi pełne doświetlenie mieszkań. W pierwszym etapie zaplanowano ponad 100 lokali typu „softloftowego" o zróżnicowanej powierzchni od 35 do 170 m². Na najwyższych piętrach wysokość mieszkań będzie dochodzić do 6 m i zostaną one powiększone o antresole w salonach. Elementami budownictwa industrialnego i kolorem budynek ma się skomponować z zabytkową zabudową Konesera. W sąsiedztwie Wytwórni zostanie postawiony podobny, trzyskrzydłowy obiekt mieszkalny o nazwie Skarbnica z parterami przeznaczonymi na działalność handlowo-usługową. Usługowy charakter ma mieć także usytuowany w pobliżu maleńki zabytkowy budyneczek – Warsztat. Z racji swojej lokalizacji, tak jak zabytkowa Strażnica przy bramie wjazdowej, zostanie w przyszłości mocno wyeksponowany. Nieco później powstaną budynki mieszkalne wzdłuż Nieporęckiej; nosić będą nazwy Monopol i Manufaktura, a ich partery handlowo-usługowe zostaną otwarte na ulicę. W sumie planowanych jest ponad 300 lokali mieszkalnych.

Fot. IS PAN

Bojnówek - częściowo drewniany dwór na folwarku Szmula Zbytkowera, 1911 r.; dziś stałby pośrodku ulicy Nieporęckiej

od strony ulicy Markowskiej, przejętych od dawnej „rektyfikacji" i odpowiednio powiększonych. Tu właśnie rozpoczęła się produkcja nowej, zreformowanej przez Władysława Grabskiego waluty – złotego polskiego. Gorzelnia nadal funkcjonowała z powodzeniem pod skrzydłami Państwowego Monopolu Spirytusowego. W końcu tejże dekady na zapleczu kamieniczki nr 15 wyrósł wielopiętrowy gmach dzielnicowej centrali Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej. Nowe, trzy- i czteropiętrowe kamienice stawiano, począwszy od 1930 r., głównie na zachód od Markowskiej. Z biegiem lat rósł odsetek ludności żydowskiej (przed II wojną do około 50 proc.), toteż na odcinku między Targową a Markowską ulica nabrała nieco egzotycznego kolorytu i z tego powodu przezwano ją praskimi Nalewkami. W domach oznaczonych numerami 7, 11, 12 i 19 funkcjonowały prywatne domy modlitwy. Zniszczenia wojenne objęły zabudowania mennicy, jeden z budynków Monopolu i trzy kamienice. Większe ubytki przyniosły powojenne rozbiórki. W latach 80. Ząbkowska osiągnęła dno swego upadku. Zrujnowane kamienice, szczerby po rozebranych budynkach, okropnie woniejące, mroczne i wilgotne bramy oraz klatki schodowe sprawiały, że rejon przy skrzyżowaniu z ulicą Brzeską był niemal czarną dziurą na mapie stolicy.

Począwszy od 2001 r., ruszył program rewaloryzacji ulicy, przewidujący remont bruków, elewacji, przejazdów bramnych i klatek schodowych, ale też wdrożenie mechanizmów, które doprowadziłyby do migracji mieszkańców i osiedlenia tu artystów, antykwariuszy, a także otwierania stylowych lokali. Program ograniczono w końcu tylko do remontów, obejmujących m.in. przywrócenie wystroju fasad i umieszczenie stylowych szyldów, zrezygnowano natomiast z socjalnej części koncepcji. Mimo to na Ząbkowską powróciło barwne miejskie życie. Przekształcenie Konesera w prywatne osiedle z odrestaurowanymi obiektami fabrycznymi i nowymi domami, łączące funkcje mieszkalne, biurowe i handlowe, to najnowszy rozdział w historii ulicy.

koneser

W czwartym kwartale 2013 r. belgijska firma Liebrecht&wooD została współinwestorem części handlowo-komercyjnej Konesera, stanowiącej około 59 proc. łącznej planowanej powierzchni użytkowej inwestycji. W Koneserze powstanie w sumie 22,5 tys. m² powierzchni handlowo-usługowej i 22 tys. m² powierzchni biurowej. Wartość inwestycji szacowana jest na 450 mln zł, a jej zakończenie zaplanowano na 2017 r. Obie firmy zrealizowały ostatnio wspólnie budynek Plac Unii, uznany przez „Gazetę Wyborczą" za jeden z najładniejszych obiektów wybudowanych w Warszawie w 2013 r. Tak więc ta współpraca dobrze wróży Koneserowi.

Największy biurowiec – o nazwie Laboratorium – ma powstać wzdłuż ulicy Białostockiej; będzie podzielony na dwa obiekty o niezależnej strukturze wewnętrznej komunikacji, ale mające jednolitą elewację, tworzącą pierzeję ulicy Białostockiej i zamykającą zespół Konesera od strony północnej (na makiecie biurowce w kolorze niebieskim). Bliższy centrum Konesera zespół biurowo-handlowo-usługowy ma nosić nazwę Kadzielnia. Rozpoczęcie budowy całego tego kompleksu budynków biurowych i handlowych (kolor zielony) poprzedzi realizacja głębokiego, trzypoziomowego centralnego parkingu, który znajdzie się pod dużą częścią terenu w obrysie omijającym tylko budynki zabytkowe. Ten podziemny parking będzie miał ponad 1000 miejsc postojowych. Kierowcy będą wjeżdżać od Białostockiej i Ząbkowskiej, ale wyjeżdżać tylko na Białostocką, mniej obciążoną ruchem samochodowym. Teren wewnętrzny Konesera ma być całkowicie wolny od ruchu samochodowego – będzie otwarty tylko dla pieszych i rowerzystów.

Właściwa działalność produkcyjna Konesera odbywała się w budynkach filtrowni i rozlewni – oba zostaną teraz przekształcone w obiekty usługowo-handlowe. – Chcemy, żeby charakter poprzemysłowy na tym tere-

Wizualizacja

Budynek mieszkalny z częścią handlową, widok od ulicy Białostockiej

Jeden z budynków handlowo-usługowych

nie był mocno wyeksponowany, aczkolwiek budynki współczesne nie mają udawać zabytków – mówi Krzysztof Tyszkiewicz. Budynki przy ulicy Ząbkowskiej – o nazwach Filtracja i Gorzelnia – będą miały funkcje mieszane. W Gorzelni być może powstanie hotel, w Filtracji gospodarze terenu planują halę targową ze świeżą żywnością (takie targi odbywają się na terenie Konesera już teraz). Budynek rektyfikacji, ten z wysokim kominem, w którym niegdyś destylowano spirytus, inwestorzy w całości przeznaczyli na cele kulturalne. Wcześniej był pomysł umieszczenia tam Muzeum Wzornictwa Przestrzennego jako oddziału Muzeum Narodowego, ale nie udało się uzyskać decyzji Ministerstwa Kultury w tej sprawie. Zapewne więc będzie to prywatna instytucja kultury, która powinna się stać swego rodzaju atrakcją turystyczną. – Tworzymy projekt typu *mixed-use*, bo chcemy, by Koneser był kawałkiem prawdziwego miasta, żyjącego całą dobę. Z tego samego powodu teren nie zostanie zamknięty, będzie ogólnodostępny, bez samochodów – bezpieczny i przyjazny pieszym. Ważną rolę przypisujemy też wprowadzeniu zieleni wokół obiektów, której w tej chwili na terenie Konesera nie ma. Obszary poprzemysłowe ze swej natury nie były zazieleniane. Pewnym wyzwaniem jest więc wprowadzenie i zaplanowanie szaty roślinnej – zapowiada Rafał Szczepański, wiceprezes BBI Development.

Koneser – wzorem Placu Unii – ubiega się o certyfikat ekologiczny BREEAM. A że projekt jest tak wieloelementowy i zróżnicowany jeśli chodzi o przeznaczenie poszczególnych obiektów – czyli nietypowy – angielska instytucja wydająca certyfikaty Building Research Establishment tworzy indywidualne kryteria dla zespołu budynków przy Ząbkowskiej. Certyfikat zostanie więc wydany w tym trybie po raz pierwszy w Polsce.

Już niedługo teren Konesera zamieni się w wielki plac budowy z lasem żurawi. Na razie zakończono konstrukcję pierwszego budynku mieszkalnego i choć dopiero szykowana jest wiecha do zawieszenia na Wytwórni, większość mieszkań ma już właścicieli. Magia miejsca i dewiza promocyjna „Monopol na sukces" mają siłę przyciągania.

koneser
CENTRUM PRASKIE

Wizualizacja

Zielony plac wewnętrzny; od lewej - zabytkowy Warsztat i Laboratorium

Wizualizacja

Niejednoznaczny pejzaż powojnia

Z historykiem MARCINEM ZAREMBĄ rozmawia Sebastian Pawlina

Sebastian Pawlina: Z czym Panu – warszawiakowi – kojarzy się 17 stycznia 1945 r.?

Marcin Zaremba: – Pierwsze skojarzenie to chyba rocznice, które obchodzono w szkole podstawowej. W sali gimnastycznej zbierali się wszyscy uczniowie. Śpiewano hymn, recytowano wiersze...

A jako historykowi?

– Bez wątpienia z wyzwoleniem lewobrzeżnej Warszawy. Z wyzwoleniem, choć pamiętajmy, że Warszawa była już opustoszała – Niemcy się tutaj nie bronili. Inna sprawa to dyskusja wokół tego, czy w latach 1944-1945 mieliśmy faktyczne wyzwolenie. Jest więc pewna dwuznaczność tego określenia. Wówczas jednak dla Polaków był to dzień wyzwolenia. Nikt nie mógł przewidzieć przecież, jak potoczy się historia. Dodatkowo w społecznym odbiorze nie było niczego gorszego od niemieckiej okupacji.

Pytam o te skojarzenia, bo zastanawiam się, czy 17 stycznia nie ma przede wszystkim wymiaru symbolicznego. W końcu chyba dla tamtych ludzi nie zmieniło się dużo w obrazie psychospołecznym?

– Jak najbardziej. Podczas drugiej wojny światowej tylko Berlin i Warszawa zostały zburzone. Żadna inna ze stolic, poza Londynem, który był bombardowany, w takim stopniu nie ucierpiała. Tutaj można jedynie

dr hab. Marcin Zaremba – historyk; pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Studiów Politycznych PAN. Zajmuje się historią społeczną PRL. Autor wielokrotnie nagradzanych książek – „Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm” (2005) i „Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys” (2012), za którą w grudniu dostał prestiżową Nagrodę im. Kazimierza Moczarskiego 2012

szukać porównań z Mińskiem i Kijowem. Zwłaszcza z Mińskiem, który był jedną wielką ruiną. Dla Polaków klęska Powstania Warszawskiego, zburzenie stolicy i wypędzenie prawie 500 tys. mieszkańców miasta to były doświadczenia traumatyczne. Jeśli myślano wówczas o odwecie na Niemcach, to obraz Warszawy pojawiał się przed oczami wszystkich.

Zniszczono w końcu najważniejsze miasto Polski.

– A wraz z nim jego infrastrukturę, elity, strukturę społeczną, zabytki, przemysł. Dwa inne miasta, Wilno i Lwów, ważne w polskiej tożsamości, przypadły Związkowi Radzieckiemu. To wszystko było szokujące i trudne do zaakceptowania. Stan psychiczny Polaków można porównać do tego, jak wyglądała Warszawa. Z jednej strony, cieszono się z wyzwolenia, bo skończyła się „okupacyjna noc". Z drugiej jednak, społeczeństwo było straszliwie pogruchotane.

W czym się to przejawiało?

– Bez wątpienia trzeba zacząć od elit. W Polsce przedwojennej inteligencja była wzorcem kulturowym. Ona narzucała rytm i normy postępowania. I to ona ucierpiała najbardziej. Po wojnie brakowało tych ludzi. To, że nastąpiło przyspieszone rekrutowanie nowych elit, nie było tylko zabiegiem politycznym ze strony rodzącego się reżimu, ale także wymogiem chwili, ponieważ tych elit nie było. Albo były niedostateczne w porównaniu z państwami zachodnimi czy nawet Czechami. Do tego należy również dodać eksterminację polskich Żydów, czyli w dużej części klasy średniej w Polsce.

A co z instytucjami?

– One w każdym społeczeństwie pełnią bardzo ważną funkcję: wzorcotwórczą, organizacyjną, kontrolną. Po 1945 r. w Polsce nastąpiła ich przyspieszona odbudowa. Jednak instytucje władzy i kontroli społecznej, czyli prokuratura, policja, sądy, a zwłaszcza Urząd Bezpieczeństwa, nie cieszyły się społecznym zaufaniem. W zasadzie funkcjonowały w próżni. W styczniu 1945 r. te instytucje nie istniały, a w najlepszym wypadku znajdowały się w zalążku. Oczywiście jeszcze w 1944 r. Armia Krajowa czy Delegatura Rządu starały się organizować życie społeczne. Ale wejście Armii Czerwonej to zakończyło.

Polskie Państwo Podziemne próbowało „wychowywać" obywateli w zasadzie od samego początku okupacji. Wraz z upadkiem Powstania Warszawskiego i likwidacją PPP te instytucje znikają, nowa władza nie ma poparcia...

– Trzeba zadać pytanie, od kiedy je miała. Do Gomułki, do 1956 r., ciężko jest oszacować społeczną legitymizację władzy. Wówczas to było maksymalnie 15 procent.

Czyli nie było nikogo, kto mógłby organizować życie społeczne?

– Ależ był! W Polsce powojennej jedyną autentyczną instytucją, która miała społeczną legitymację i w miarę zachowała swoją organizację, był Kościół.

Oczywiście on też ucierpiał. Straty w ludziach były bardzo duże. W zasadzie Kościół w jakimś stopniu także był w rozsypce. W pierwszym zgromadzeniu episkopatu brało udział trzech biskupów. To pokazuje, jak wojna dotknęła to środowisko. Niemniej w tej pustce instytucjonalnej Kościół bez wątpienia się wyróżniał.

Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz – migracje. Jak duży był ich wpływ na sytuację powojenną?

– Przesiedlenia to problem istniejący już od 1939 r. Począwszy od tych dokonywanych przez Niemców na Pomorzu i w Wielkopolsce, kontynuowanych na Zamojszczyźnie, w Warszawie, kończąc na tych na terenach wschodnich. Tutaj konsekwencje są bardzo poważne, ponieważ pozrywane zostały więzi lokalne, zawodowe, środowiskowe. W Łodzi na przykład, która stosunkowo mało ucierpiała podczas okupacji i gdzie nie dokonywano drastycznych przesiedleń, po wojnie wybuchały strajki. Bo tam więź klasowa była relatywnie silna, a tym samym zdolność do oporu społecznego większa niż w pozostałych regionach.

Ten katalog problemów można by jeszcze znacznie rozszerzyć.

– Zdecydowanie. Choćby o demoralizację, wzrost religijności w niektórych grupach społecznych, a także kwestie świadomości narodowej. To nie jest do końca tak, że II Rzeczpospolita ukształtowała nowoczesny naród polski. Wiele osób miało słabo ugruntowaną świadomość narodową. Nie dotyczyło to oczywiście absolwentów elitarnych liceów warszawskich czy krakowskich, ale tej biedniejszej ludności, przede wszystkim chłopskiej. I bez wątpienia wojna przyspieszyła kształtowanie się tożsamości narodowej. Z jednej strony, to bardzo dobrze. Z drugiej jednak, lata 1939-1945 spowodowały głębokie konsekwencje, np. brak poczucia bezpieczeństwa narodowego. Powstały silne stereotypy, niechęć wobec innych grup narodowych. Przede wszystkim Niemców, ale także Ukraińców czy Żydów.

Fot. Z. Chomętowska. © Chomętowscy/Fundacja Archeologia Fotografii

Aleje Jerozolimskie, okolice skrzyżowania z Nowym Światem, 1945-1946

Pomówmy o ludziach. Wracają do Warszawy, do Polski po migracjach, przesiedleniach, instytucji nie ma... a życie zaczyna tworzyć się na nowo. Jak?

– To jest jeden z fenomenów odbudowy. W propagandzie PRL przez cały czas podkreślano entuzjazm społeczny – cały naród buduje swoją stolicę. Ale faktycznie coś w tym jest. Ludzie chcieli odnaleźć rodzinę, odbudować dom, wstawić szyby, móc ugotować obiad, znaleźć pracę. Chciano po prostu zacząć jakoś na nowo funkcjonować. Istniał olbrzymi pęd edukacyjny. Popularne były kursy doszkalające, zdawano matury, rozpoczynano studia w wieku prawie 30 lat. To są takie podstawowe rzeczy, które widzimy we wszystkich grupach społecznych.

A nie było w tym trochę takiego wyczekiwania na to, co ma się wydarzyć?

– Jak najbardziej. W latach 1945-1946 istniało poczucie tymczasowości. Zastanawiano się, co będzie dalej. Nie wierzono, że to już koniec. Ludzie mieli nadzieję, że przyjedzie rząd londyński i Mikołajczyk, a nie, że będą rządzić komuniści. Dlatego to zaangażowanie w organizowanie sobie życia było niezwykle silne w najróżniejszych sferach. Spontanicznie przynoszono krzesła do sal Uniwersytetu Wrocławskiego, szukano łóżek do szpitali... Inaczej się nie dało. Przy czym nie robiono tego razem z władzą, ale raczej obok niej. Ludzie funkcjonowali na zasadzie: „popatrzmy, jak to będzie i róbmy swoje".

W końcu gdyby ci ludzie wiedzieli, jak historia się potoczy, nie podejmowaliby raczej współpracy z władzami.

– Nikt nie wiedział, że tutaj zaraz będzie stalinizm. Nawet ta władza mówiła, że idą nową drogą i nie będzie gwałtownej rewolucji. Sami wyciszali tzw. sekciarskie głosy. Zamiast kolektywizacji przeprowadzono reformę rolną, na którą chłopi tak długo czekali. Wiedziano o terrorze, ale ten nie miał nic wspólnego z tym, co podczas okupacji robili Niemcy.

Ale lęk chyba mimo wszystko pozostał?

– Zdecydowanie, i widać to po decyzjach ludzi w Austrii, w Niemczech – w obozach dla dipisów. Wielu z nich nie wiedziało, czy wracać. Pytali najbliższych w listach, czy warto, czy nie rządzą „Sowiety". Mimo niepokoju dużo osób wróciło, bo w Polsce była żona, dzieci, matka. To były dramatyczne wybory. Trochę inny

Furmanką do Warszawy

Jacek Głuski

Jeden z najpopularniejszych warszawskich przewodników, dziś już ponad 80-letni Andrzej Kochanowski, 5 lutego 1945 r. – jako 12-letni chłopak – wracał razem z rodzicami do Warszawy. Ze wsi Łękawice w pobliżu Sochaczewa, gdzie Kochanowscy przez pięć miesięcy mieszkali u chłopskiej rodziny, wyruszyli wynajętą furmanką, która stała się ich domem na drewnianych kołach. Okazała się sprawna jak samochód terenowy, ale łatwiejsza i tańsza w obsłudze.

Wyjechali wieczorem i 50 km dzielących ich od Warszawy pokonali przez noc. Do miasta wjechali ulicą Wolską, włączając się w długą kolumnę powracających. W Warszawie zaczęto dopiero odgruzowywać najważniejsze ulice, które przypominały kaniony lub tatrzańskie doliny. Jednym z głównych takich kanionów były Aleje Jerozolimskie. Wojsko uczyniło je przejezdnymi, bo był to strategiczny szlak łączący wschód z zachodem przez pontonowy most na Wiśle. Otoczeni morzem ruin Kochanowscy dotarli furmanką do Krakowskiego Przedmieścia i pieszo zeszli na Powiśle. Szybko zorientowali się, że na ulicy Lipowej, gdzie stał ich dom, czekają na nich tylko ruiny. Trzeba było szukać szczęścia na Pradze.

Furmanką dojechali z Krakowskiego Przedmieścia nad Wisłę. Był 6 lutego. Tego dnia wojsko oddało do użytku tzw. most wysokowodny, budowany przez saperów od 20 stycznia. Wzniesiony został na palach na wysokości Karowej. Z początku służył tylko wojsku, a rodzinie Kochanowskich pozwolono przejechać nim jako jednym z pierwszych cywilów. Przetrwał jedynie dwa lata, zniszczyła go wiosenna kra lodowa 20 marca 1947 r. Przez miesiąc rodzina Kochanowskich, wraz z 15 inny-

charakter miały decyzje ludzi na wschodzie. Tam doszły jeszcze aresztowania, np. we Lwowie, i strach przed Ukraińcami. W związku z tym dylemat „jechać czy nie" rozstrzygano na „jechać do centralnej Polski". Opuszczano więc z ciężkim sercem swoją ziemię.

A co z tymi, którzy mieli problem „iść do lasu" czy poszukać normalnej pracy?

– To inna kwestia. Ludzie byli zmęczeni wojną i zastanawiali się, jak długo można konspirować. W podziemnym wojsku zawodowych żołnierzy nie było tak wielu. Podejmowanie decyzji „walczyć czy odbudowywać życie w cywilu" to był straszny wybór, tym bardziej że w podziemiu, tak jak w znacznej części polskiego społeczeństwa, wierzono, iż tak się to nie skończy. Sądzono, że albo wróci rząd z Londynu, albo wybuchnie trzecia wojna światowa.

Istniały przesłanki, by w nią wierzyć?

– Całkiem sporo. Ciągłe ruchy oddziałów radzieckich, plotki rozpuszczane często przez kolejarzy, że wojska umacniają się na brzegu Odry, albo decyzja o tym, że trzeba oczyścić strychy. Zastanawiano się: po co to wszystko? Także z zewnątrz przychodziły istotne sygnały. Przede wszystkim wystąpienie Churchilla w Fulton. To wszystko zebrane razem skłaniało ludzi do kontynuowania walki – wierzono w jej sens. Jednocześnie wydaje mi się, że część żołnierzy, gdyby wiedziała, że nie dojdzie do wojny, nie podejmowałaby tak trudnych decyzji jak pozostanie w lesie. To był splot wielu spraw utrudniających wybór tej właściwej strategii. A pamiętajmy, że w ten okres elity podziemia wchodziły zdziesiątkowane – nie potrafiły wskazać odpowiedniego kursu.

Jest jeszcze trzecia grupa: ci zajmujący się szabrem i bandytyzmem. Co z nimi? Zdarzały się wypadki kupowania jedzenia za usługi seksualne.

– Problem demoralizacji powojennej to rzecz powszechna. Do wzrostu przestępczości doszło nawet w krajach nieokupowanych, np. w Wielkiej Brytanii. Wojna jest szkołą agresji, podczas niej wolno więcej. Następuje przyzwyczajenie do widoku krwi, zwłok. I to jest naturalne – po prostu, żeby zachować zdrowie psychiczne, trzeba się uodpornić na obecność śmierci. W konsekwencji jednak może też dojść do „przyzwyczajenia się" do czynów bandyckich. Nie należy jednak jednej miary przykładać – jak to się niekiedy robi – do szabru i bandytyzmu. Przede wszystkim ci, którzy szabrowali w Warszawie, w Polsce, żyli w biedzie, mieli także świadomość tej tymczasowości. Zastanawiali się,

➜

Fot. Archiwum Stolicy

Warszawiacy wracający do miasta w 1945 r.

mi osobami, biwakowała w pokoju z kuchnią przy ulicy Grenadierów, bez przerwy szukając innego lokum.

Poruszanie się po Warszawie nie należało do bezpiecznych. Po mieście włóczyli się szabrownicy i zwykli bandyci, a przede wszystkim radzieccy maruderzy, rabując wszystko, co można było zamienić na wódkę. Ich ofiarą padł ojciec Andrzeja. Żołnierze napadli go na ulicy, zrewidowali i zabrali mu pieniądze. Obrabowany poskarżył się lokalnemu komendantowi radzieckiemu, a ten złożył mu osobliwą propozycję: „Jesteś krawcem, a więc człowiekiem pracy. Nasza armia wyzwala ludzi pracy. Zbliża się 1 maja i potrzebujemy dużo czerwonych sztandarów. Dostaniesz materiał i uszyjesz

jak to będzie. Poza tym szaber to jest relacja nie między człowiekiem a człowiekiem, jak w wypadku bandytyzmu, gdzie kogoś trzeba napaść i zagrozić mu, ale między człowiekiem a rzeczą. To sprawia, że te opory moralne są mniejsze.

Sytuacja kobiet w Neapolu, w Berlinie czy w innych miastach niemieckich jest kolejnym z przykładów społecznych konsekwencji wojny. Przecież tam panował straszliwy głód. Tymczasem niektóre kobiety nigdy nie pracowały albo straciły pracę w wyniku wojny, a miały dzieci, które musiały utrzymać. To była tragedia powojnia dotykająca tysiące kobiet, ale także dzieci, które żebrały i kradły, bo nikt nie zorganizował dla nich opieki.

Czyli nie można mówić, że Warszawa, Polska jest pod tymi względami wyjątkowa na powojennej mapie Europy?

– Te rzeczy działy się na całym kontynencie. Możemy dyskutować jedynie o skali tego zjawiska. Szabrowano w Alzacji, zabierano rzeczy kolaborantom francuskim czy holenderskim, wyrzucano ich z domów, dochodziło do aktów przemocy wobec kobiet, kolaborantów. I była to przemoc bardzo krwawa, jak np. we Włoszech. Osobna opowieść to Jugosławia. Przecież tam rozstrzelano 60 tys. Chorwatów, Słoweńców... W związku z tym Polska nie jest żadną „czarną wyspą".

Ten obraz powojnia jest bardzo mroczny...

– Tu mieszają się różne elementy. Niemcy w czasie wojny nie zezwalali na organizowanie zabaw, np. wesel. Po wojnie ludzie chcieli się radować, zawierać związki małżeńskie! Widać było ten pęd do życia. I na tym polega fenomen powojnia – jego pejzaż jest niejednoznaczny. Nie ma tylko czarnego obrazu. Po tym pierwszym okresie chaosu nastąpiło uspokojenie, umocnienie się struktur. Szaber, symbol okresu powojennego, także stopniowo zanikał. Siły życia wygrały w tej walce.

To, o czym mówimy, tworzy jednak zupełnie inny obraz od tego znanego z prasy powojennej, gdzie cały naród z entuzjazmem buduje swoją stolicę. Natomiast wydaje mi się, że ten obraz jeszcze bardziej podkreśla wysiłek tamtych ludzi.

– To rzeczywiście była heroiczna odbudowa, co do tego nie ma wątpliwości. Nie chciałem jednak, aby moja ostatnia książka „Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys" utrwaliła ten sam obraz powojnia. Uznając, że dotychczasowe opisy okresu powojennego były niepełne, pokazałem w niej tę drugą stronę. Aby można było zrozumieć powojenne akty agresji wobec Niemców, szaber, bandytyzm, antysemickie pogromy. Bo przecież trudno wytłumaczyć zachowania agresywne wobec innych poprzez opisywanie radosnych ludzi z entuzjazmem odbudowujących kraj, tańczących, bawiących się.

Czy dzisiaj jednak mówienie o tym jest potrzebne?

– Wydaje mi się, że trzeba o tym pamiętać. To też był okres trudny. Może nie tak jak wojna, ale również nabrzmiały konfliktami, problemami. Dla wielu osób to był czas heroiczny, jeśli mówimy o żołnierzach podziemia czy kobietach, które samotnie musiały radzić sobie z życiem. Dlatego ta pamięć jest potrzebna, tak jak szacunek następnych pokoleń wobec przeszłości.

Marszałkowska w pobliżu Świętokrzyskiej, 1945-1946

Fot. M. Chrząszczowa. © M. Jarecka/Fundacja Archeologia Fotografii

sto flag, a my ci się odwdzięczymy". Krawiec uszył sto flag, a komendant mu podziękował. O zwrocie skradzionych pieniędzy nie było już mowy.

W Warszawie wszystko zaczynało się od początku – budowa dróg i mostów, komunikacja, cała miejska gospodarka. Na szczęście, nowy ustrój nie zdołał jeszcze zniszczyć prywatnego handlu i na bazarze przy placu Szembeka można było kupić wszystkie artykuły spożywcze. Zbliżał się koniec wojny, front oddalał się od Warszawy, z której wycofywano część radzieckich oddziałów. Kochanowscy dowiedzieli się, że będzie wolne jedno z mieszkań w willi na Grochowie. Szybko zajęli kompletnie zdewastowany lokal, dopiero co opuszczony przez pluton czerwonoarmistów. W obu pokojach, gdzie spali żołnierze, widniały ślady po ogniskach, w których spłonęły meble i podłogi. Natomiast na środku kuchni była ubikacja, a właściwie latryna, z której smród rozchodził się po całej ulicy. Trzeba było kilka miesięcy pracy, aby to miejsce zmienić w prawdziwe mieszkanie.

Dalsze losy Andrzeja Kochanowskiego to studia na SGPiS na kierunku ekonomika budownictwa. W swoim zawodzie przepracował aż do emerytury, nadal jednak pozostaje aktywny, od wielu lat oddając się życiowej pasji, jaką jest upowszechnianie wiedzy o Warszawie. Jako warszawski przewodnik, wyróżniony m.in. odznaką Zasłużony dla Warszawy, oprowadza wycieczki po stolicy. W ostatnich latach koncentruje się na szkoleniu przewodników. Mimo ukończonej osiemdziesiątki nie może sobie odmówić poprowadzenia, co czwartek, grupy miłośników miasta jedną z opracowanych przez siebie tras.

Krótka radość

Marek Frankiewicz

Autor na podwórku domu przy ulicy Prądzyńskiego, w którym zamieszkał z matką po wyrzuceniu ich z mieszkania, 1945 r.

Fot. Archiwum rodzinne M. Frankiewicza

Włochy, 20-tysięczna osada tuż przy granicy Warszawy – ranek 17 stycznia 1945 r. Zza Wisły słychać sowiecką artylerię, Niemcy uciekają w popłochu – niektórzy porzucając broń i mundury. Jakiś młody, 15-16-letni chłopak znalazł niemiecki karabin, mundur i hełm. Założył ten mundur i zaczął celować w okna domów na naszej ulicy. W końcu ktoś krzyknął: „Głupku, jak przyjdą Ruscy, to cię zastrzelą jak Niemca" i chłopak uciekł. Przez kilka godzin było spokojnie. Niemców już nie było, a zwycięzcy jeszcze nie dotarli. W końcu ich zobaczyliśmy. Na szczęście, to byli Polacy. Szli czwórkami środkiem głównej ulicy Włoch – Piłsudskiego – w długich zielonych płaszczach, w rogatywkach z orzełkami.

Matka wygrzebała schowaną gdzieś na spodzie szafy biało-amarantową chorągiewkę z bibułki i wystawiliśmy ją w oknie. Potem wysłała mnie na ulicę z papierosami dla żołnierzy, jedyną rzeczą, którą mogliśmy im ofiarować.

Nasza radość szybko się jednak skończyła. Po kilku dniach to samo polskie wojsko wyrzuciło nas z mieszkania. Rozkaz brzmiał: Tu będzie teraz sztab I Armii Wojska Polskiego. Macie godzinę na wyprowadzenie się – meble zostają, a resztę schowajcie sobie gdzieś albo weźcie z sobą. Gdzie się zatrzymacie, wasza sprawa.

Przez kilka miesięcy mieszkaliśmy kątem u znajomych i omal nie straciliśmy naszego mieszkania na zawsze. Dowiedzieliśmy się bowiem, że mieszkania w domu przy Piłsudskiego 16 – nasze i naszych sąsiadów, których spotkał taki sam los – oglądają obcy ludzie, którzy zamierzają przejąć je od wojska (jak można przypuszczać, za łapówkę). Na szczęście, w końcu wróciły one do prawowitych właścicieli. Według jednej z wersji, mojej matce i naszej sąsiadce, pani Pakulskiej, udało się nawiązać kontakt z majorem Wojska Polskiego, porządnym człowiekiem, który uznał, że to bezprawie, ale wiedział, że interwencja na wyższych szczeblach naszego wojska nie odniesie skutku, gdyż dowódcy będą kryć swoich ludzi – nieuczciwych kwatermistrzów. Zaryzykował więc i przewiózł te dwie kobiety, ukryte na tylnym siedzeniu swojego służbowego samochodu, wprost do sztabu Armii Radzieckiej, do jakiegoś generała, który wydał rozkaz natychmiastowego oddania mieszkań prawowitym właścicielom.

Z kolei według opowieści mojej sąsiadki i rówieśnicy Joli, jej rodzice, podobnie jak my wyrzuceni z własnego mieszkania, zamieszkali kątem u znajomych w domu przy ulicy Sieradzkiej. Jeden z lokali tego domu zajmował Rosjanin, niejaki Grisza. O dziwo – nie był wojskowym, chodził po cywilnemu. Czy był to jakiś komisarz partyjny, czy może funkcjonariusz Smierszu lub NKWD, nie wiadomo. W każdym razie ojciec mojej koleżanki, który biegle znał rosyjski i przez kilka miesięcy wygnania prawie zaprzyjaźnił się z Griszą, poprosił go o pomoc. I ta interwencja okazała się skuteczna. Po kilku dniach wróciliśmy do naszego, zdewastowanego przez wojsko mieszkania.

Nigdy nie dowiemy się, kto podjął decyzję w naszej sprawie. Jedno jest pewne: w wyzwolonej od Niemców Polsce faktycznie rządzili Rosjanie.

Powrót do Warszawy

Dziś widziałam – nogi mieli w worach,
Szeregami szli po śniegu, żwawo.
Twoje dzieci, kiedy przyszła pora,
powracają do Ciebie, Warszawo!

Nie ma dla nich dziś śnieżnej zamieci,
mrozu, wichru, siekącej kurzawy,
po kolana brną kobiety, dzieci,
bo „co mi tam" – oni – do Warszawy!

Cóż to znaczy, że droga zawiana,
że na zgliszcza wrócą w poniewierce,
nie na stopach szliby – na kolanach,
niosąc w piersi okrwawione serce.

Idą, ciągną te rzeczy nędzarzy,
ci wyzuci z mienia pogorzelcy,
te sieroty, dzieci, ludzie starzy,
co biedacy, duchem jeszcze wielcy.

Nie ma dla nich dziś żadnych zakazów,
nie chcą czekać na przepisy prawa,
jak na hasło ruszyli od razu
pod sztandarem, a sztandar – „Warszawa".

Powitają Cię zbiedzoną rzeszą,
nie jak dawniej wspaniałą i dumną
i zapłakać gorąco pospieszą
pod złamaną Zygmunta kolumną.

Dziś zamieszka – niczym jaskiniowiec
Gruzy Twoje – kto syn Twój jest prawy.
Wierne dzieci masz – o tym się dowiedz,
co w nieszczęściu nie rzucą Warszawy!

Maria Kownacka, 28 stycznia 1945 r.

8 stycznia konferencją i wystawą w Parlamencie Europejskim w Brukseli rozpoczęły się obchody Roku Jana Karskiego. Został on ogłoszony przez Sejm RP z okazji przypadającej 24 czerwca 100. rocznicy urodzin tego wielkiego emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego, który w 1942 r. przedstawił aliantom relację o eksterminacji Żydów. W „Stolicy" postać Jana Karskiego przybliżają EWA WIERZYŃSKA, dziennikarka i kuratorka brukselskiej wystawy, oraz MACIEJ WIERZYŃSKI, autor książki będącej zapisem jego rozmów z Janem Karskim

Emisariusz z Warszawy

Jarosław Górski: Mimo przekazania aliantom raportu o realizowanym przez Niemców programie całkowitej zagłady Żydów niebezpieczna misja Jana Karskiego zakończyła się fiaskiem. Alianci nie podjęli żadnych działań dla powstrzymania czy choćby zmniejszenia skali Holokaustu. To kolejny polski bohater, który poniósł porażkę...

Maciej Wierzyński: – A który z polskich polityków czy żołnierzy podczas II wojny światowej nie poniósł porażki? Karski nie miał złudzeń co do znaczenia Polski w grach, jakie prowadziły w tym czasie między sobą wielkie mocarstwa. Nie łudził się, że Polska może się znaleźć w obozie zwycięzców, dostrzegał też daremność wysiłków naszych polityków na emigracji, niezależnie od ich talentów politycznych i zalet charakteru.

Pytanie, czy wolno mi się było narażać? Ja sobie to pytanie jeszcze teraz, po pięćdziesięciu latach, jako stary dziad, sam zadaję. Teraz bym się nie zgodził, ale wtedy była wojna, miałem dwadzieścia parę lat, człowiek nie myślał o tym. (...) No i chciałem pomagać Żydom, bo widziałem te okropności. Nie myślałem wtedy o niebezpieczeństwie. Teraz bym myślał.

Sytuacja Polski była tragiczna – to określenie w naszych rozmowach z Janem Karskim padało wielokrotnie. Po spotkaniach z wielkimi tego świata nie miał także złudzeń co do możliwości uratowania europejskich Żydów. A jednak – i to jest godne podziwu – mimo swojego gorzkiego realizmu, mimo świadomości, że kolejne, wymagające ogromnej energii i wysiłku organizacyjnego, spotkania nie przyniosą spodziewanych efektów, kontynuował swoją misję.

Ewa Wierzyńska: – I misja, i postawa Karskiego to znakomity wzorzec etyczny dla młodzieży. Młodzi ludzie nie są skłonni do przyjmowania autorytetu „na wiarę", a historia naszego emisariusza składa się z prawdziwych wydarzeń, które wymagały od niego niezwykłej dzielności,

wytrwałości, a także poświęcenia. Karski przedzierał się nielegalnie przez granice okupowanego kraju, był torturowany przez gestapo, mimo ryzyka wszedł w przebraniu do getta i do obozu tranzytowego dla Żydów wiezionych do obozu śmierci. Historia tego człowieka to również pogłębiona opowieść o Zagładzie, o dramacie mordowanego narodu żydowskiego, o różnicach losu polskiego i żydowskiego, o Polskim Państwie Podziemnym i rządzie na uchodźstwie. Życiorys Karskiego to nie tylko fragment historii II wojny światowej. Może on być także lekcją realizmu politycznego, ale nie takiego cynicznego, jaki często prezentują wielcy tego świata, ale połączonego z przekazem, że moralność, wierność zasadom to nie są puste słowa, lecz miara wartości każdego człowieka.

Jaki był skutek tych moich osobistych raportów? Prawdę mówiąc, wielu ludzi, przede wszystkim w środowisku żydowskim, przecenia moją działalność (...). Byłem nikim. Byłem młodym człowiekiem. Anonimowym. Nie byłem przywódcą politycznym. Byłem kurierem jednej z wielu antyhitlerowskich organizacji w Europie.

Oczywiście w PRL Karski jako emigrant polityczny nie mógł być obecny w mediach. Ale przecież także po upadku komunizmu i docenieniu jego działań przez władze wolnej Polski (m.in. w 1995 r. został odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego) nie stał się powszechnie znanym bohaterem.

M.W.: – Wynikało to między innymi z jego skromności i niechęci do wtrącania swoich trzech groszy w aktualne polskie spory polityczne; uważał, że mieszkając od dziesięcioleci za granicą, zobowiązany jest do powściągliwości. Ale także z tego, że jego przesłanie, niestety, nie jest ani proste, ani krzepiące. Karski przeżył, ale to nie jest historia z happy endem. Wspominałem już o dziejowym fatalizmie. On miał też niepopularne spojrzenie na znaczenie naszego kraju we współczesnej historii Europy. Mówił, że bez polskiego wysiłku wojennego, w kraju i u boku aliantów, wojna nie trwałaby ani dnia dłużej. Kto w Polsce lubi słuchać takich rzeczy?

Część dotycząca Żydów nigdy nie zabierała więcej niż trzy, cztery minuty w takim raporcie. Dostałem polecenie od podziemnych organizacji żydowskich, żeby przedstawić to, czego Żydzi się domagają, o co błagają. Z niektórymi rozmówcami w ogóle nie dochodziłem do tego punktu, bo mi przerywali. (...) Dla tego rodzaju ludzi byłem nikim. Moim zadaniem nie było pytać, moim zadaniem było odpowiadać na pytania. Niektórzy widocznie nie byli tym zainteresowani.

A przecież, mimo okupacji, wystawiliśmy czwartą pod względem liczebności aliancką armię, mieliśmy największą armię podziemną...

M.W.: – Ale Karski widział to inaczej: hitlerowskie Niemcy zostały pokonane głównie dzięki wielkiemu przemysłowi – dziesiątkami i setkami tysięcy dział, czołgów, samolotów produkowanych głównie przez Amerykanów, a także kosztem życia milionów uzbrojonych przez tychże Amerykanów sowieckich żołnierzy. Karski mimo swojego niewątpliwego patriotyzmu w refleksji historycznej i politycznej nie kierował się sentymentami, ale chłodną analizą faktów i liczb.

Jakie są więc szanse na to, że wejdzie on do naszego narodowego panteonu?

M.W.: – Wojenne działania Karskiego, misja emisariusza podejmowana już od 1940 r., wielokrotne przedzieranie się przez granicę to znakomity temat na film. W jego przygodach jest wszystko, czego takiemu filmowi potrzeba. Konspiracja, zdrada, pogonie, ale także nadzwyczajna odwaga, sprawność fizyczna, dzielność. No i oczywiście wielka polityka. A przy tym Karski podczas wojny był młodym człowiekiem, wrażliwym na uroki życia. I jednocześnie potrafił spojrzeć na siebie z dystansem, z ironią. Potrzebny byłby naprawdę dobry scenarzysta, aby nie zagubił ani widowiskowości, ani tragizmu i niejednoznaczności tej postaci. Może Janusz Głowacki byłby w stanie podołać temu zadaniu?

E.W.: – Karski to jeden z niewielu naszych rodaków cieszących się ogromnym autorytetem za granicą. W 1982 r. instytut Yad Vashem w Jerozolimie uhonorował go medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a już pośmiertnie, w 2012 r., został odznaczony przez prezydenta Obamę najwyższym amerykańskim odznaczeniem: Prezydenckim Medalem Wolności. Na Zachodzie znane są jego prace historyczne ukazujące wysiłek Polski w czasie II wojny światowej. Na konferencji w Zamościu poświęconej Janowi Karskiemu, prelegent z Izraela powiedział, że Karski jest postacią tak ważną, że gdyby nie istniał, to chyba trzeba byłoby go wymyślić.

Pani prowadzi w Polsce i za granicą (przede wszystkim w USA i Kanadzie) program edukacyjny poświęcony Janowi Karskiemu. A jak to wygląda w Polsce?

E.W.: – Od naszego powrotu z emigracji w 2005 r. byłam przekonana, że pamięć o nim zaginie, jeśli nie podejmie się w Polsce działań na szeroką skalę. W 2010 r. zainaugurowałam czteroletni program „Jan Karski. Niedokończona misja". Jest on realizowany zarówno w Polsce, jak i za granicą. W jego ramach organizujemy – przede wszystkim w środowiskach akademickich – spotkania, wystawy, prelekcje, pokazy

Fot. Archiwum Stolicy

filmów, dzięki którym Polacy, ale także Amerykanie i Kanadyjczycy mogą poznać naszego bohatera. W USA ważnym momentem było wspomniane już pośmiertne odznaczenie Karskiego przez prezydenta Obamę. Dużo dzieje się w Warszawie, bo właśnie tu Karski zaczynał karierę w dyplomacji, tu wstąpił do konspiracji, stąd wyruszył w swoją ostatnią historyczną misję. Tutaj w końcu wrócił po latach, by odebrać doktorat honoris causa UW i Order Orła Białego. Sympatycznym akcentem jest „sofa Karskiego" przed Muzeum Historii Żydów Polskich, wyposażona w aparaturę do odtwarzania dźwięku. Po przyciśnięciu guzika można posłuchać wspomnień słynnego kuriera. Nad Wisłą planowany jest bulwar Karskiego. Przydałaby się też ścieżka Karskiego dla zwiedzających Warszawę. Myślę, że pojawią się wreszcie w stolicy inicjatywy, by imieniem tego wielkiego człowieka nazywać szkoły, a za granicą np. katedrę, choćby na Uniwersytecie Georgetown, na którym przez wiele lat był wykładowcą.

Natomiast prawie od razu po tym, jak raportowałem tym wielkim ludziom, takim jak Eden, lord Cranborne, członek gabinetu wojennego, czy lord Selborne, który sprawował pieczę nas wszystkimi ruchami antyfaszystowskimi i antyhitlerowskimi w całej Europie (...) otrzymałem wezwania od najprzeróżniejszych organizacji angielskich, które zajmowały się techniką wojny. Rozmawiali ze mną szczerze, wszystko im mówiłem.

Inaczej wyglądały spotkania z ludźmi niższego szczebla, z menedżerami wojny z różnych tajnych organizacji. Oni poświęcali mi dużo czasu, chcieli wszystko wiedzieć. Prosili mnie nawet o ocenę ich działalności, o radę. I to oni właśnie dawali odpowiedź na żądania Żydów. Domagali się rozmów ze mną na skutek sugestii tych wielkich ludzi: „Porozmawiajcie z tym facetem, dowiedzcie się, czego on chce".

Fragmenty wypowiedzi Jana Karskiego oraz ks. Adama Bonieckiego (na sąsiedniej stronie) z książki Macieja Wierzyńskiego „Emisariusz własnymi słowami", Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2012

Czy działania te przekładają się na znajomość dokonań naszego bohatera przez Polaków?

E.W.: – Nie mogę powiedzieć jeszcze, że Karski zakorzenił się w masowej wyobraźni, że jego przesłanie trafiło pod strzechy. Na razie nie trafiło nawet do podręczników szkolnych. Ale nasza – i nie tylko nasza – praca i nasz program edukacyjny zaczynają przynosić efekty. Ponad tysiąc osób miesięcznie zagląda na stronę www.jankarski.org. Wystawę o Karskim przygotowaną w 20 językach przez Muzeum Historii Polski we współpracy z Google oglądają, według statystyk portalu (www.google.com/culturalinstitute), tysiące osób tygodniowo.

M.W.: – Wciąż jednak brakuje dobrej biografii Karskiego. Od lat nie wznawiano jego powieści historycznej „Tajne państwo" oraz imponującego dzieła akademickiego „Wielkie mocarstwa wobec Polski, 1919-1945: od Wersalu do Jałty". Można by także oczekiwać, choćby przy okazji 100. rocznicy jego urodzin, jakiegoś zaangażowania naszych instytucji kultury, zwłaszcza telewizji publicznej, która mogłaby wyemitować takie filmy, jak „Raport Karskiego" Claude'a Lanzmanna czy „Emisariusz z Polski" Martina Smitha.

Czy z tej okazji planuje Pani razem z Muzeum Historii Polski jakieś wydarzenia?

E.W.: – Oczywiście, także w ramach programu „Jan Karski. Niedokończona misja". Będą dni Karskiego, wędrująca wystawa pokazywana na ulicach miast, konferencje w Waszyngtonie, Chicago i Warszawie organizowane wspólnie z Fundacją Edukacyjną Jana Karskiego, będziemy upowszechniać materiały o nim w środowisku edukatorów. Planujemy wiele działań oświatowych i artystycznych,

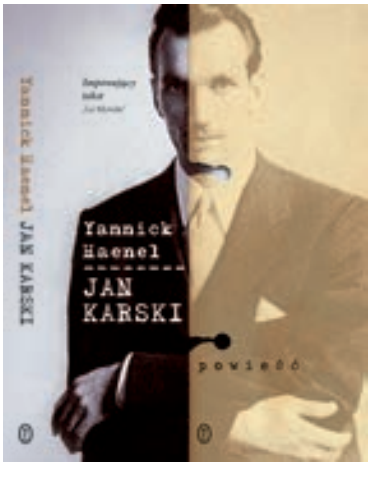

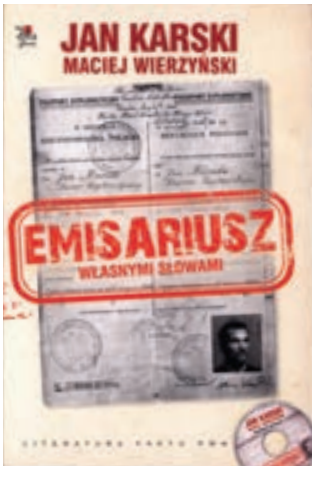

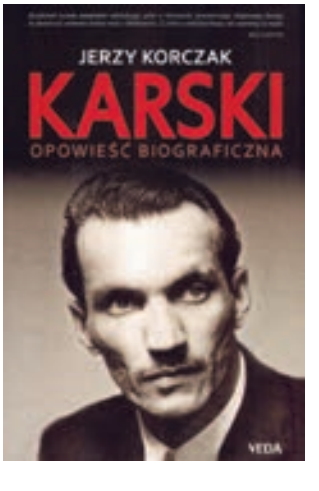

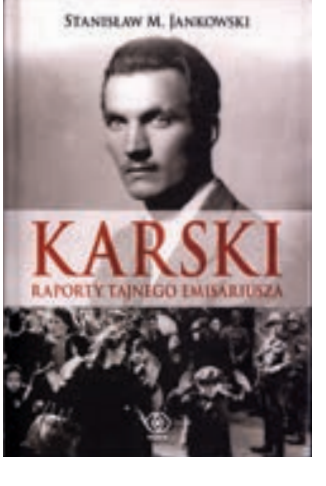

Fot. E. Wierzyńska

Nawet wśród wielkich bohaterów II wojny światowej Karski jest postacią wyjątkową. Nieprzeciętnie uzdolniony, heroicznie odważny, lojalny wobec przełożonych stał się niewygodnym świadkiem małoduszności wielkich tego świata. Niepokorny, wierny wskazaniom Ewangelii katolik, wciąż się komuś narażał lub przynajmniej dla kogoś był niewygodny. Może dlatego jest zbyt słabo obecny w społecznej świadomości, choć właśnie on zasłużył na miejsce wśród największych w panteonie naszych bohaterów narodowych.

ks. Adam Boniecki

a nawet badawczych, w trakcie których zwłaszcza młodzi ludzie będą mogli głębiej „przeżyć" historię Jana Karskiego.

Rozmawiał Jarosław Górski

Ewa Wierzyńska – dziennikarka, autorka reportaży i współautorka książki o polskim Październiku zatytułowanej „Stare numery"; w latach 2006-2010 wicedyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich. W Muzeum Historii Polski prowadzi program „Jan Karski. Niedokończona misja"

Maciej Wierzyński – dziennikarz, w latach 1992-2000 szef Sekcji Polskiej Głosu Ameryki w Waszyngtonie, dla której przeprowadził cykl 17 rozmów z Janem Karskim. Rozmowy te ukazały się w postaci książkowej pod tytułem „Emisariusz. Własnymi słowami" (Warszawa 2012)

Ławeczka Jana Karskiego przed warszawskim Muzeum Historii Żydów Polskich

Co kogo w mieście przeraża

Jacek Fedorowicz

Zauważyłem, że ostatnio w mediach znów pojawił się temat reklamy wielkoformatowej, którą owe media – nie szczędząc wysiłków – od dawna zwalczają. Zwierzałem się w tym miejscu pięć lat temu (jak ten czas leci!), że nie do końca zgadzam się z przeciwnikami reklamy, ponieważ to, co reklama zasłania, bywa czasem znacznie brzydsze niż ona sama.

Pozwolę sobie powtórzyć pogląd, że w wielu miejscach Warszawy reklama wielkoformatowa bardzo by się nawet przydała. Marzyłbym na przykład o zakryciu budynku TVP przy Woronicza. Szczególnie boli mnie widok od strony Wołoskiej. To jest – przepraszam najmocniej – chuligaństwo architektoniczne, zadra w krajobrazie, dziwactwo nietłumaczące się ani funkcją, ani otoczeniem, a jeżeli już czymś, to chyba tylko chęcią zabłyśnięcia za wszelką cenę. Byłbym niezmiernie kontent, gdyby ten megagargamel znikł pod reklamą.

Podobnie hotel Sobieski na placu Zawiszy. Koszmar. Prostacka kolorystyka z celowym bezsensem rozmieszczenia barw na fasadzie. Celowym, bo to wygląda na manifest artysty anarchisty, który chciał zaimponować odwagą i zapacykował budynek wbrew formie, wbrew wszelkim zasadom, będąc jeszcze w dodatku daltonistą. Kolory dobrał na podstawie napisów na tubach i dbał tylko o to, by każdy następny miał zupełnie inną nazwę.

Dalej: „Żagiel" Libeskinda. Nie mogę się pogodzić z faktem, że tak pięknie zaprojektowana budowla została tak zepsuta źle pomyślaną fasadą. To zabrzmi jak herezja, ale myślę, że zdolny grafik, który by wspomógł bryłę „Żagla" sprytnie dobranymi formami graficznymi (w służbie reklamy, ale to już trudno) – mógłby przywrócić budynkowi część utraconej urody.

Reklama po jakimś czasie, gdy ataki mediów wsparte protestami społecznymi osiągną pewien pułap – znika. A brzydka architektura zostaje na dziesięciolecia. Dodam jeszcze, że społecznicy walczą o wygląd miasta zgodny z ich sumieniem estetycznym i mają do tego prawo, natomiast media podejrzewam w tej kwestii o sporą porcję obłudy. Co jest bowiem głównym źródłem utrzymania mediów? Już nie ci, którzy płacą abonament czy kupują gazety, ale reklamodawcy nabywający miejsce na łamach i czas antenowy. Firma, która wydała pieniądze na reklamę na fasadzie budynku, nie wyda ich na reklamę w gazecie czy na ekranie. Media nie wyglądają więc na takie całkiem bezstronne w tej walce z wielkoformatowymi reklamami.

Na koniec apel. Gorąco zachęcam wszystkich uczestników krucjaty antywielkoformatoworeklamowej, by zechcieli choćby malutką część energii poświęcanej walce z największą (w ich mniemaniu) zakałą pejzażu miejskiego, czyli reklamami, przeznaczyć na trzebienie patriotycznych fresków podobnych temu, jaki odkryłem (liście z drzew opadły i przestały litościwie zasłaniać) na widocznej od strony Wisłostrady ścianie domu przy Wilanowskiej 5, róg Solec. Powiedzieć o tym „kicz", „gniot" czy „bohomaz" to niezasłużony komplement. Słów nie znajduję, by opisać ten straszliwy malunek. Ktoś chciał złożyć hołd młodocianym bohaterom powstania, ale, niestety, w efekcie zbezcześcił miejsce, gdzie we wrześniu 1944 r. rozgrywały się wydarzenia tragiczne. Urzędnik, który zezwolił na malowidło, powinien czym prędzej cofnąć swą decyzję i zamalować tę zgrozę osobiście.

Fot. Przemaszan, licencja Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Poland

Jednym z najbardziej znanych budynków w Warszawie jest Pałac Staszica, wybudowany w latach 1820-1823 dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Po II wojnie światowej stał się on siedzibą powołanej w 1951 r. Polskiej Akademii Nauk, do której należą Polacy (członkowie rzeczywiści i korespondencyjni) i cudzoziemcy, szczycący się dorobkiem naukowym i nieposzlakowaną opinią. W skład struktury organizacyjnej Akademii wchodzi ponad 100 instytutów i komitetów naukowych powiązanych tematycznie z pięcioma wydziałami: Nauk Humanistycznych i Społecznych, Nauk Biologicznych i Rolniczych, Nauk Ścisłych i Nauk o Ziemi, Nauk Technicznych oraz Nauk Medycznych.

W Pałacu Staszica mieszczą się siedziby Archiwum PAN, Instytutu Badań Literackich PAN, Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, Instytutu Historii Nauki im. Ludwika i Aleksandra Birkenmajerów PAN oraz Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN. Inne instytuty są rozlokowane w różnych punktach miasta oraz poza Warszawą. PAN ma swoje oddziały w Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Lublinie, Wrocławiu, Poznaniu i Łodzi. W Warszawie zlokalizowane są także jednostki pomocnicze – Ogród Botaniczny w Powsinie i Muzeum Ziemi. Od stycznia 2007 r. Polską Akademią Nauk kieruje prof. Michał Kleiber. Misją PAN jest wszechstronna działalność na rzecz rozwoju nauki, służąca społeczeństwu i wzbogacaniu kultury narodowej, prowadzona z zachowaniem najwyższych standardów jakości badań i norm etycznych.

Zapraszamy naszych Czytelników na historyczny spacer po Pałacu Staszica i miejscu jego powstania.

Tajemnice kościoła obserwantów

Olga Guzik

3 lipca 1668 r. król Jan Kazimierz przekazał zakonowi dominikanów obserwantów teren, gdzie Krakowskie Przedmieście zbiegało się z traktem soleckim i drogą do Czerska. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się Pałac Staszica

Zanim dominikanie na darowanym gruncie wybudowali kościół pw. Matki Boskiej Zwycięskiej, w 1611 r. stanęła tu kaplica grobowa zwaną Moskiewską. Jej historia związana była z bitwą pod Kłuszynem w 1610 r., podczas której wojska polskie dowodzone przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego pokonały armię rosyjską. Car Wasyl i jego bracia Dymitr i Jan Szujscy zostali ujęci i umieszczeni w areszcie domowym w zamku w Gostyniu, gdzie Wasyl i Dymitr zmarli. Początkowo ich ciała pochowano pod murem gostyńskiego zamku, ale w 1620 r. – na żądanie króla Zygmunta III Wazy – zostały przeniesione z honorami do Warszawy i złożone w kaplicy Moskiewskiej.

Kaplica Moskiewska była najprawdopodobniej trzykondygnacyjną drewnianą budowlą o ośmiobocznej podstawie, przykrytą cebulastym hełmem. Adam Jarzębski w przewodniku z 1643 r. „Gościniec, abo krótkie opisanie Warszawy" tak pisał o kaplicy i zdobiących ją tablicach upamiętniających gest Zygmunta III Wazy:

Niedaleko tuż kaplica
Moskiewska, na niej tablica
Marmurowa z literami
Złotemi charakterami
Na sejm do Warszawy
Stawiono Szujskich ich sprawy
Do Gostynina posłano
Do więzienia odesłano
Potem ich tu pochowano
W tej kaplicy w grób schowano
Przyjechał poseł moskiewski

A więc majestat królewski
Złożył jemu w podarunku
Ciała w wielkim obwarunku
Które z ceremoniami
Zawieziono z tryumfami
Do stolicy

Kaplica nie została rozebrana pod budowę kościoła dla dominikanów obserwantów, ale znalazła się w obrębie jego murów. Z czasem, poddawana kolejnym przebudowom, stała się nie tylko mauzoleum carów Szujskich, ale także grobowcem braci zakonnych.

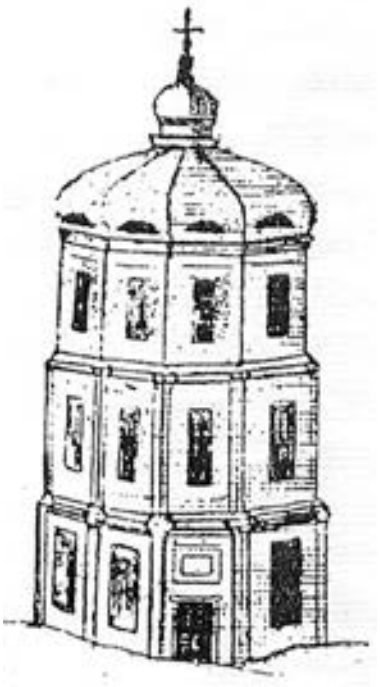

Wygląd kaplicy Moskiewskiej według Zygmunta Librowicza, rysunek z około 1901 r.

Na temat bryły i dekoracji kościoła O.O. Dominikanów Obserwantów zachowało się niewiele informacji. Jego budowa, możliwa dzięki wsparciu magnatów i króla, była wieloetapowa. Budynek początkowo drewniany, od 1705 r. murowany według projektu architekta Tylmana z Gameren, już w 1727 r. został poddany kolejnej rozbudowie zakończonej konsekracją w 1741 r.

W intensywnie rozwijającej się Warszawie w krótkim czasie pojawiło się jednak zapotrzebowanie na większy kościół. Dzięki fundacjom kasztelanowej Heleny Ogińskiej już w 1760 r. zdecydowano się na kolejną rozbudowę. Powiększenie kościoła w kierunku Krakowskiego Przedmieścia stało się możliwe dzięki wydanej przez marszałka Franciszka Bielińskiego zgodzie na zajęcie tego placu. Do prac projektowych zaangażowano uznanego architekta Efraima Szregera. Budowa trwała do 1763 r., wówczas nastąpiła kilkuletnia przerwa, spowodowana prawdopodobnie pobytem Szregera za granicą. Do dalszej rozbudowy powrócono dopiero w 1768 r.

Kościół O.O. Dominikanów Obserwantów, początek XIX wieku

Zdjęcia: Archiwum Stolicy

Fragment panoramy Baryczkowskiej (z końca XVIII wieku) ukazuje kościół Matki Boskiej Zwycięskiej w sąsiedztwie monumentalnej, dwuwieżowej fasady kościoła św. Krzyża. Chęć zachowania doskonałej widoczności kościoła obserwantów od strony placu Zamkowego mogła się przyczynić do zastosowania dwuwieżowego rozwiązania, które nie było charakterystyczne dla dorobku Szregera. Z panoramy oraz fragmentu planu Warszawy Tirregaille'a z 1762 r. można wyczytać, że kościół Matki Boskiej Zwycięskiej miał mieć fasadę dwukondygnacyjną o charakterystycznym falistym rzucie – wklęsłą przy wieżach, wypukłą na osi środkowej. W górnej części fasady widać masywne, zwieńczone łukiem okno, a na schodkowym szczycie znajduje się trzymająca jabłko i berło figura Matki Boskiej w koronie.

Portal główny kościoła, według projektów umieszczony we wnęce, ujęty z obu stron trzema kolumnami z przerwanym gzymsem powyżej, zwieńczony był supraportą i ślepym okienkiem. Wieże, o wysokości czterech kondygnacji każda, miały wieńczyć hełmy ze smukłymi latarniami. Wklęsłe partie ścian wieży ujęte były w pierwszej kondygnacji pilastrami jońskimi, wypukłe narożniki zostały podkreślone przez kolumny w tym samym porządku, na drugiej kondygnacji – w porządku korynckim, na trzeciej i czwartej – kompozytowym. W 1768 r., po wznowieniu prac, projekt Szregera w znacznym stopniu zmieniono. W rezultacie wieże zrealizowano do wysokości jednej kondygnacji i przekryto je czterospadowymi daszkami.

Po zredukowaniu projektu wież wzbogacony został rzeźbiarski szczyt. Do figury Matki Boskiej dołączyły figury św. Dominika i św. Wincentego Ferreriusza. Zespołu dopełniały dwa anioły adorujące wyniesiony na postument posąg Matki Boskiej Zwycięskiej. Pomysł na takie rozwiązanie przypisywany jest braciom dominikanom obserwantom, aby przy braku wysokich wież zachować dostojne zamknięcie osi Krakowskiego Przedmieścia.

Budowę kościoła ostatecznie zakończono około 1780 r.; konsekrowany został ponownie w 1783 r. Jego ikonografia jest niestety bardzo skromna, nie zachowały się żadne obrazy wnętrza, jedynie kilka widoków zewnętrznych budowli. W kwestii wystroju kościoła można tylko wyliczać elementy dekoracji i ich wykonawców, próbując przy tym wyobrazić sobie ich rozmieszczenie w przestrzeni świątyni. Kościół był najprawdopodobniej budowlą jednonawową z wewnętrznym wieńcem kaplic. W maju 1770 r. rozpoczęto sta-

Fot. Archiwum Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków

Rozbiórka kościoła w sierpniu 1818 r. na zaginionej akwareli Zygmunta Vogla

wianie rusztowań do budowy sklepień kaplic kościoła. Jedna z nich poświęcona była Jezusowi, zachował się zapis, że jej projekt wykonał architekt Józef Konduktor. W kościele znajdowała się także kaplica św. Dominika, której budowę rozpoczął jeszcze Szreger w 1760 r.

W rachunkach kościelnych z sierpnia 1771 r. pojawia się wzmianka: *Panu Merliniemu Architektowi za rysunek Abrysu do ornamentu kościoła wewnętrznego.* Od tego momentu Dominik Merlini figuruje jako nadzorujący prace nad wystrojem wnętrza świątyni.

Rzeźbiony ołtarz główny kościoła O.O. Dominikanów Obserwantów był prawdopodobnie dwukondygnacyjny. W dolnej kondygnacji znajdowały się figury św. Dominika i św. Tomasza oraz półfigury św. Stanisława i św. Rocha autorstwa Józefa Kieyszta, nazywanego Snycerzem. Figury górnej kondygnacji opracowywał Wawrzyniec Supau, który wykonał też ramę do obrazu Matki Boskiej Różańcowej, zwanej obecnie Matką Boską Tychwińską. Legenda mówi, że został on ofiarowany królowi Janowi III Sobieskiemu przez papieża Innocentego XI po zwycięstwie pod Wiedniem. Po rozbiórce kościoła obserwantów dzieło trafiło do kościoła wizytek na Krakowskim Przedmieściu, a w 1816 r. przeniesiono je do kościoła karmelitów pod wezwaniem św. Józefa Oblubieńca. Podczas konserwacji w latach 1973-1975 obraz okazał się być ikoną datowaną najprawdopodobniej na XIV wiek. Obecnie znajduje się ona w prawym ołtarzu bocznym w kościele karmelitów, opatrzona srebrną repusowaną sukienką z XVIII wieku. Pośród ołtarzy bocznych należy także wymienić ołtarz św. Kajetana, do którego obraz namalował w 1775 r. malarz Petro, oraz dwa analogiczne ołtarze św. Katarzyny Sieneńskiej i św. Antoniego. Poza tym ołtarze św. Jacka i św. Wincentego.

Do początku lat 30. XX wieku znane było miejsce przechowywania figury Matki Boskiej Zwycięskiej ze szczytu fasady kościoła. Została ona przeniesiona na szczyt cerkwi z 1817 r. w miejscowości Rajce. Tablica umieszczona na fasadzie tej cerkwi poświadczała pochodzenie statuy z kościoła O.O. Dominikanów Obserwantów w Warszawie.

Na przełomie XVIII i XIX wieku klasztor i kościół zaczęły podupadać, liczba zakonników zmniejszała się z każdym rokiem, pomiędzy pozostałymi dochodziło do sporów. Polityk Leon Dembowski (1789-1878) w swoich pamiętnikach zawarł historię skandalu w środowisku warszawskim związanego z zakonem dominikanów obserwantów: *Kiedy ojciec mój był jeszcze paziem przy królu Stanisławie Auguście, mieli paziowie kwaterę swoją w domu Karasia oddzielonym od klasztoru małą uliczką. Jednego dnia spostrzegli oni, że z okna dominikanin jakiś daje znaki pełne rozpaczy i jakby wzywające ratunku. Zaciekawieni chłopcy wynaleźli sposób bliższego z nim porozumienia i się dowiedzieli, że księdza tego żywcem w jego celi zamurowano. Doniesiono o tym zaraz królowi, ten zakonnika kazał oswobodzić.*

W 1808 r., podczas przemarszu wojsk francuskich, klasztor zamieniono na koszary, co przyspieszyło jego stopniowe niszczenie. W 1816 r. w klasztorze pozostało tylko dwóch zakonników, jeden z nich Józef Danikowski, z niejasnych do dziś przyczyn, zastrzelił się przy ołtarzu głównym w kościele. Zgodnie z ówczesnym kodeksem kanonicznym kościół musiał z tego powodu zostać natychmiast zamknięty.

W efekcie 4 sierpnia 1818 r. namiestnik Królestwa Polskiego generał Józef Zajączek wydał polecenie zburzenia kościoła. Obecnie śladów jego istnienia możemy szukać w konstrukcjach Pałacu Staszica i kościoła św. Aleksandra przy placu Trzech Krzyży. Po rozbiórce cegły z kościoła obserwantów zostały wykorzystane do ich budowy.

Pałac Staszica około 1870 r.

Pałac przyjaciół nauki

Ryszard Mączewski

Mimo że założone w 1800 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk istniało tylko 32 lata, to bez gmachu, który był jego siedzibą, trudno sobie dzisiaj wyobrazić Krakowskie Przedmieście

Zanim Towarzystwo Przyjaciół Nauk przeniosło się do budynku przy Nowym Świecie, zamykającego perspektywę Krakowskiego Przedmieścia, jego siedziba mieściła się przy placyku Kanonie, na tyłach katedry św. Jana. Okazała się jednak zbyt mała, by pomieścić wciąż rosnące zbiory naukowe. *Spiritus movens* budowy nowej siedziby stał się Stanisław Staszic, przewodniczący Towarzystwa, który postanowił skorzystać dwojako z planu wyburzenia opuszczonego kościoła O.O. Dominikanów Obserwantów. Przede wszystkim chciał, aby na powstałym poszerzeniu Krakowskiego Przedmieścia został ustawiony pomnik Mikołaja Kopernika. Poza tym podjął działania mające na celu uzyskanie praw do działki po kościele, aby tam wybudować nową siedzibę Towarzystwa. Dotychczasowa siedziba została sprzedana rządowi Królestwa i przyłączona do zespołu Zamku Królewskiego, zaś uzyskane ze sprzedaży środki, powiększone o pożyczkę z kasy magistratu oraz uzbierane oszczędności i zapis ks. Bohusza, przekazano na budowę nowego gmachu.

22 sierpnia 1820 r. namiestnik Królestwa Polskiego, książę Józef Zajączek nadał Towarzystwu plac po wyburzonym kościele i niezwłocznie ruszyły prace budowlane według projektu Antonia Corazziego. Projekt ten został Towarzystwu narzucony przez władze rządowe.

Fot. Archiwum Stolicy

Sala posiedzeń w Pałacu Staszica

Należy pamiętać, że to właśnie Stanisław Staszic sprowadził w 1818 r. do Polski 26-letniego wówczas Corazziego, dlatego można przypuszczać, że to on był odpowiedzialny za wybór młodego Toskańczyka. Mimo że członkowie Towarzystwa, architekci Jakub Kubicki i Piotr Aigner, zgłaszali do projektu liczne zastrzeżenia, został on przekazany do realizacji jedynie z niewielkimi zmianami. Do pałacu przyłączono też oficynę stojącą na sąsiedniej działce przy Nowym Świecie, którą Towarzystwo zakupiło z własnych funduszy. Miesiąc później, 30 września 1820 r., Staszic podpisał umowę z Bertelem Thorvaldsenem na wykonanie pomnika Kopernika.

Budowa i wykańczanie wnętrz budynku, zwanego powszechnie Pałacem Staszica, trwało do 1824 r., aczkolwiek już w październiku 1823 r. odbyło się pierwsze spotkanie członków Towarzystwa w nowym gmachu. Jego rozkład wnętrz był całkowicie odmienny od obecnego. Pod arkadami znajdowały się wejścia do sklepów na parterze. Środkowe arkady wiodły do holu, z którego po prawej stronie od wejścia (a nie jak obecnie na wprost) prowadziła na piętro reprezentacyjna marmurowa klatka schodowa z żeliwnymi poręczami. Centralną część pierwszego piętra zajmowała sala posiedzeń z półkolistym amfiteatrem, ozdobiona popiersiami 17 wybitnych Polaków, m.in. Jana Kochanowskiego, Jana Zamoyskiego, braci Załuskich, króla Jana III Sobieskiego, a także, co może się dzisiaj wydawać niestosowne, urzędującego prezesa Towarzystwa – Stanisława Staszica. Wokół sali posiedzeń rozmieszczone były pomieszczenia biblioteki oraz sala z pamiątkami po Janie Henryku Dąbrowskim, zapisanymi Towarzystwu w testamencie generała. Niestety, Stanisław Staszic nie doczekał odsłonięcia pomnika Kopernika (zmarł w 1826 r.), które nastąpiło prawie 10 lat po podpisaniu umowy z Thorvaldsenem – w maju 1830 r.

Rok po powstaniu listopadowym car stwierdził, że wobec udziału w nim członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk należy tę instytucję zdelegalizować. Pałac ogołocony z pamiątek (wywiezionych do Rosji) został przeznaczony pod wynajem. Jednym z pierwszych lokatorów została Dyrekcja Loterii, kolejnym – w 1857 r. – Akademia Medyko-Chirurgiczna. Po rozwiązaniu tej uczelni w 1862 r. jej miejsce zajęło Pierwsze Gimnazjum Męskie. Budynek jednak nie sprawdzał się najlepiej w roli gmachu szkolnego – kierownictwo narzekało zarówno na złą akustykę głównej sali, jak i kłopoty z jej ogrzaniem w zimie. Już przed 1870 r. padł pomysł przekształcenia sali w kaplicę prawosławną dla uczniów. Pomysł ten trafił na podatny grunt i – zgodnie z decyzją kuratora naukowego Królestwa Kongresowego Aleksandra Apuchtina – po 1891 r. został rozpisany konkurs na budowę cerkwi wewnątrz Pałacu Staszica, a w 1893 r. Władimir Pokrowski, architekt kuratorium naukowego w Warszawie, przedstawił projekt zmiany elewacji pałacu na styl rosyjski – projekt oparty na szkicu Adriana Prachowa, profesora Uniwersytetu Kijowskiego. Za wzniesieniem w tym miej-

Fot. Biblioteka Kongresu USA

Około 1900 r. Podczas przebudowy pałacu na cerkiew, która zakończyła się w 1895 r., została wyburzona prawie cała elewacja zaprojektowana przez Antonia Corazziego

scu cerkwi prawosławnej przemawiało również to, że istniała tu już wcześniej kaplica Moskiewska, będąca grobowcem cara Wasyla IV i jego brata Dymitra.

Przebudowa pałacu rozpoczęła się od wyburzenia w zasadzie całej elewacji zaprojektowanej przez Corazziego i większości ścian wewnętrznych. Pałac wylicowany kolorową cegłą, zwieńczony typową dla rosyjskiej architektury sakralnej „cebulą" nad cerkwią św. Tatiany Rzymianki, której okna wychodziły na Krakowskie Przedmieście, stał się kolejną budowlą Warszawy przypominającą Polakom o byciu częścią Cesarstwa Rosyjskiego.

W okresie I wojny światowej, po wejściu do Warszawy w sierpniu 1915 r. wojsk niemieckich, w budynku znalazł swoją siedzibę niemiecki dom żołnierza (Deutcher Soldatenheim). Niebawem, w listopadzie 1915 r., Komitet Obywatelski podjął decyzję o przywróceniu pałacowi pierwotnej formy architektonicznej. Ze względu na niemożność usunięcia domu żołnierza, zlikwidowano jedynie cerkiewną kopułę i skuto z fasady kolorową majolikową cegłę.

W listopadzie 1918 r. po opuszczeniu Warszawy przez Niemców do budynku – przekazanemu formalnie powstałemu w 1907 r. Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu – wprowadziło się wiele instytucji: Instytut Geologiczny, Instytut Meteorologiczny, część katedr Uniwersytetu Warszawskiego, Książnica Polska, Ossolineum, Towarzystwo Polsko-Amerykańskie, Koło Polek i inne.

W 1924 r. rozpoczęły się prace mające na celu przywrócenie pierwotnego kształtu budynku. Projekt opracował Marian Lalewicz, który zaproponował elewację zbliżoną do oryginalnej, zaś wnętrza przeprojektował, wykorzystując mury wzniesione przez Rosjan w trakcie „przebudowy" pałacu na cerkiew. Uroczyste ponowne oddanie pałacu do użytku nastąpiło w setną rocznicę śmierci Stanisława Staszica – 20 stycznia 1926 r. W ten sposób Warszawa pozbyła się jednego z bardziej „krzykliwych", obcych kulturowo i architektonicznie budynków, odzyskując dostojny corazziański gmach, stanowiący idealne zakończenie perspektywy Krakowskiego Przedmieścia.

W czasie Powstania Warszawskiego znajdujący się w centrum działań wojennych pałac, został znacznie uszkodzony, choć dzięki ognioodpornym stropom przetrwał jego główny korpus. Całkowitemu zburzeniu uległa natomiast oficyna od strony Nowego Światu.

Zdjęcia: Archiwum Stolicy

W 1926 r. – w setną rocznicę śmierci Stanisława Staszica – pałacowi przywrócono pierwotny kształt

Podczas Powstania Warszawskiego Pałac Staszica został znacznie uszkodzony, choć dzięki ognioodpornym stropom przetrwał jego korpus

Odbudowa połączona ze znaczną rozbudową rozpoczęła się w 1947 r. według projektu Piotra Biegańskiego, wybitnego znawcy architektury Antonia Corazziego, i trwała do 1951 r. Do korpusu głównego dobudowano dwa skrzydła, jedno ciągnące się wzdłuż Nowego Światu, drugie – wzdłuż posesji szpitala dziecięcego przy ulicy Kopernika. Powstały między nimi dziedziniec zamknięto skrzydłem od strony przedłużonej ulicy Świętokrzyskiej. Kolejnym etapem adaptacji terenu wokół pałacu miało być wyburzenie szpitala i przeprowadzenie w jego miejscu ulicy łączącej Krakowskie Przedmieście z ulicą Kopernika – w efekcie rozbudowany Pałac Staszica byłby otoczony ze wszystkich stron ulicami. Projekt jednak, jak wiele innych warszawskich planów, został zrealizowany jedynie częściowo, dzięki czemu zabytkowy szpital ocalał, a pałac nie podzielił losu kościoła św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży.

Ciekawostką związaną z powstałym dziedzińcem jest fakt, że na jednej z jego ścian umieszczono wierną replikę narożnego portyku zdobiącego zburzoną w czasie II wojny światowej kamienicę Mikulskiego na rogu Senatorskiej i Bielańskiej. Niestety, o ile zaprojektowany przez Corazziego portyk doskonale komponował się z otaczającą go zabudową placu Teatralnego, to wciśnięta w niewielki dziedziniec kopia została całkowicie zapomniana.

Narodowi użyteczni

Ewa Sośnicka-Wojciechowska

W listopadzie zeszłego roku minęło 105 lat od powstania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. To niemało, a jeśli wziąć pod uwagę, że jest ono kontynuatorem działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauk powstałego w 1800 r., to tradycja zorganizowanego prowadzenia prac naukowych ma już w Warszawie ponad 200 lat

Rys. Władysław Barwicki. Fot. Archiwum Stolicy

Stanisław Staszic był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w latach 1808-1825

Jednym z najaktywniejszych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a potem jego prezesem był Stanisław Staszic, który w 1802 r. zamieszkał na stałe w Warszawie i zajął się pracą społeczną oraz naukową (był geografem i geologiem). W prace TPN włączył się w sposób niebywale czynny: *według pamiętnikarza tamtej epoki był „najczynniejszym, najgorliwszym, a nade wszystko najhojniejszym" członkiem Towarzystwa. To on zainicjował i sfinansował pomnik Mikołaja Kopernika, ofiarował Towarzystwu własną bibliotekę i zbiory przyrodnicze, inicjował i zachęcał do badań innych członków Towarzystwa, wzywając do „bycia narodowi użytecznym". Kiedy organizacja borykała się z kłopotami finansowymi, ufundował jej gmach, zwany Pałacem Staszica* (Krystyna Szyszko, Barbara Moskal „Stanisław Staszic. 250. rocznica urodzin patrona Piły", 2005 r.). Sprawował urząd prezesa od roku 1808 aż do 1825 (zmarł w 1826 r.; po nim objął funkcję prezesa Jan Ursyn Niemcewicz).

Według badacza historii Polski XIX wieku Stefana Kieniewicza, w TPN najsilniej spośród wszystkich nauk reprezentowane były filologia polska i historia literatury. Wśród nazwisk filologów i historyków znalazły się takie znakomitości, jak Samuel Bogumił Linde, Józef Kalasanty Szaniawski, Jerzy Samuel Bandtkie, Wawrzyniec Surowiecki, Fryderyk Skarbek, Kazimierz Brodziński czy Joachim Lelewel. Geologów reprezentował oczywiście Staszic, botaników – Wojciech Jastrzębowski, matematyków – Adrian Krzyżanowski, a kartografów – Juliusz Kolberg. Nowością było rozwiązywanie problemów naukowych w zespołach, a – jak na ówczesne czasy – był to niezwykły kolektyw o demokratycznych zasadach. Niech świadczą o tym choćby słowa Lelewela, który kiedyś ostro zareagował na zwrot „Jaśnie Wielmożny" na kopercie listu otrzymanego od paryskiego Towarzystwa Literackiego: *Toć zasługuje na wspo-*

→

W 1830 r. honorowym członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk – w wieku ponad 80 lat – został **Johann Wolfgang Goethe**. Dziękując za przyznanie mu tego tytułu, obiecał aktywną współpracę z TPN, aby naukowcy nie odnieśli wrażenia, iż przyjęli do swego grona człowieka leniwego. Rok wcześniej honorowe członkostwo warszawskiego Towarzystwa otrzymał twórca nowożytnej geografii **Aleksander von Humboldt**. W 1830 r. odwiedził Warszawę i był gościem w Pałacu Staszica. Innymi sławnymi członkami Towarzystwa Przyjaciół nauk byli: prawnik, działacz niepodległościowy, archeolog, architekt, trzeci prezydent USA **Thomas Jefferson**; angielski fizyk i chemik **John Dalton** (opisał wadę wzroku, nazwaną później od jego nazwiska daltonizmem); francuski pisarz i polityk **François-René de Chateaubriand**, a także szwedzki chemik i lekarz **Jöns Jacob Berzelius**.

Julian Ursyn Niemcewicz – prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w latach 1826-1831

mnienie Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie [późniejsza nazwa TPN]. *Gdyby w nim kto wielmożeństwa użył, plunąłbym w oczy. Prezydował młynarczyk, choć Jaśnie Wielmożny był, kolega Staszic, kolega i nic więcej. Kolega generał, książę, biskup, ksiądz, kolega i nic więcej, kolega kasztelan. Nie było ni oświeconych, ni jasnych, ni w mowie, ni w piśmie, ni panów* (Joachim Lelewel „Listy emigracyjne", Kraków 1954). Towarzystwo krzewiło na wszystkie sposoby naukę i kulturę polską (dbało o rozwój języka i literatury), toteż w 1832 r., w ramach represji władz carskich po powstaniu listopadowym, zostało rozwiązane.

Po powstaniu listopadowym w prasie ukazał się anons informujący, że cesarz raczył uznać Towarzystwo Przyjaciół Nauk za nieistniejące. Tak, decyzją cara Mikołaja I, zakończyła się oficjalna działalność Towarzystwa, a jego siedziba, Pałac Staszica, zmieniła przeznaczenie.

Oczywiście naukowcy nadal działali. W znacznym stopniu wspierała ich powstała w 1881 r. Kasa im. Józefa Mianowskiego – Fundacja Popierania Nauki. Jednak samo towarzystwo naukowe, już jako Towarzystwo Naukowe Warszawskie, odrodziło się dopiero po 75 latach – w 1907 r. Zaczęło się prężnie rozwijać i przed I wojną stało się największą organizacją naukową w zaborze rosyjskim. Przetrwało nawet wojnę – ratowała je finansowo Kasa im. Mianowskiego. A 2 grudnia 1918 r., jako spadkobierca Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbyło swoje pierwsze posiedzenie w Pałacu Staszica. W następnym roku Sejm wezwał rząd do wydzierżawienia Towarzystwu tego gmachu na 99 lat (formalnie stało się to po pięciu latach, ale na 36 lat). Tak więc dzierżawa miała trwać co najmniej do 2019 r.!

Kolejny, trzeci okres dziejów Towarzystwa rozpoczął się wraz z wybuchem II wojny światowej i obejmował lata 1939-1952. *Świadomie nie wydzielam tu okresu powojennego – lat 1944-1952, gdyż polityka okupantów hitlerowskich, zmierzająca do całkowitej fizycznej likwidacji Towarzystwa i rozprawy z polską inteligencją, kontynuowana była następnie ze względów politycznych, oczywiście w o wiele bardziej złagodzonej formie, przez polskie władze państwowe po zakończeniu wojny* (z wystąpienia sekretarza generalnego prof. Leszka Zasztowta podczas obchodów 100-lecia TNW). W czasie okupacji Towarzystwo działało w konspiracji, usiłując ochronić jak najwięcej dorobku naukowego czy dóbr materialnych i jednocześnie prowadzić tajne nauczanie, zwłaszcza na zdelegalizowanym Uniwersytecie Warszawskim. Wielu naukowców zginęło – również rozstrzelanych lub zamęczonych w obozach koncentracyjnych. W 1938 r. TNW miało 290 członków, w 1946 – o jedną trzecią mniej. Prezesem Towarzystwa po wojnie został Wacław Sierpiński. 13 grudnia 1952 r. uchwałą Rady Ministrów zlikwidowano TNW (podobnie jak Polską Akademię Umiejętności), a jego majątek przejęła świeżo utworzona Polska Akademia Nauk. Poinformował o tym na ostatnim spotkaniu Towarzystwa ówczesny sekretarz generalny, prof. Kazimierz Michałowski.

Decyzję o reaktywacji Towarzystwa Naukowego Warszawskiego podjęto w listopadzie 1980 r., Urząd Miasta zatwierdził statut w 1981 r. Wtedy prof. Tadeusz Kotarbiński wyraził zgodę, aby TNW mogło wraz z kierowanym przez profesora Polskim Towarzystwem Filozoficznym korzystać z jego gabinetu w... Pałacu Staszica. Towarzystwo Naukowe do dzisiaj ma tam swoją, choć już nieco obszerniejszą, siedzibę. Obecne TNW składa się z sześciu wydziałów, przy których w miarę potrzeb powstają komisje. I tak np. w 1990 r. powołano Komisję Kultury Słowa zajmującą się problematyką bliską sercu starszego pokolenia polskiej inteligencji. Prezesami odrodzonego TNW byli kolejno: Wiktor Kemula, Aleksander Gieysztor, Bolesław Górnicki, Witold Rudowski, Andrzej Paszewski. Od 2007 r. przewodzi mu Janusz Lipkowski.

18 września 2013 r. I Kongres Towarzystw Naukowych skierował do władz państwowych apel: *Kongres wyraża przekonanie, że potencjał ekspercki i moralny towarzystw naukowych i stowarzyszeń naukowo-technicznych nie jest należycie wykorzystywany w kraju i apeluje o pilną zmianę tej sytuacji* (...) *wnosząc jednocześnie o podjęcie działań mających na celu wypracowanie zasad polityki państwa w stosunku do społecznego ruchu naukowego i naukowo technicznego* (...) *oraz wprowadzenie rozwiązań prawnych umożliwiających zapewnienie funkcjonowania (wyżej wymienionych).* W historii Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a wcześniej Towarzystwa Przyjaciół Nauk zdarzało się, że ludzie zapisywali na jego rzecz całe majątki, a biedniejsi ofiarowywali choćby skromne datki. Społeczeństwo rozumiało, że rozwój nauki stanowi o rozwoju całego kraju.

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie

Archiwum wiedzy i wzruszeń

Pałac Staszica, około 1880 r.

Joanna Arvaniti

Archiwum Polskiej Akademii Nauk, od 2011 r. Polska Akademia Nauk Archiwum w Warszawie, powołane 1 grudnia 1953 r., w ubiegłym roku obchodziło 60-lecie działalności. Od ponad pół wieku gromadzi, przechowuje, opracowuje i udostępnia materiały źródłowe z dziejów nauki w Polsce

W skład - przechowywanego na prawie 3 tys. metrów bieżących półek - zasobu warszawskiego Archiwum i jego oddziałów w Poznaniu i Katowicach wchodzą unikatowe akta Polskiej Akademii Nauk oraz poprzedzających jej założenie organizacji społecznych: Kasy im. Józefa Mianowskiego (działającej od 1881r.) i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego (od 1907 r.). Do zasobu należą także akta specjalistycznych towarzystw naukowych z zespołem Polskiego Towarzystwa Historycznego na czele, założonego w 1886 r. pod nazwą Towarzystwo Historyczne we Lwowie. Bezcennym uzupełnieniem akt urzędowych są nieustannie pozyskiwane (obecnie ich liczba przekracza 600 i ciągle rośnie) oraz na bieżąco porządkowane dokumenty będące spuścizną polskich uczonych. Zgromadzone w zasobie Archiwum PAN materiały epistolograficzne obejmują korespondencję wielu najwybitniejszych przedstawicieli nauki i kultury polskiej i światowej (Karola Wojtyły, Marii Skłodowskiej-Curie, Alberta Einsteina, Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza, Józefa Piłsudskiego, Władysława Sikorskiego i innych).

Najstarszy rękopis znajdujący się w Archiwum PAN to fragment cysterskiej „Księgi cudów", pochodzącej z drugiej połowy XIII wieku, odnalezionej w opactwie w Kołbaczu. Jest to dokument pergaminowy z doskonale zachowanymi barwnymi inicjałami i zapisanymi dookoła otworami (pozostałościami po uszkodzeniach na

➜

Zdjęcia: Archiwum PAN

Medal zaszczytny Stanisława Augusta Poniatowskiego przyznany Stanisławowi Konarskiemu, 1765 r.

Zdjęcia: Archiwum PAN

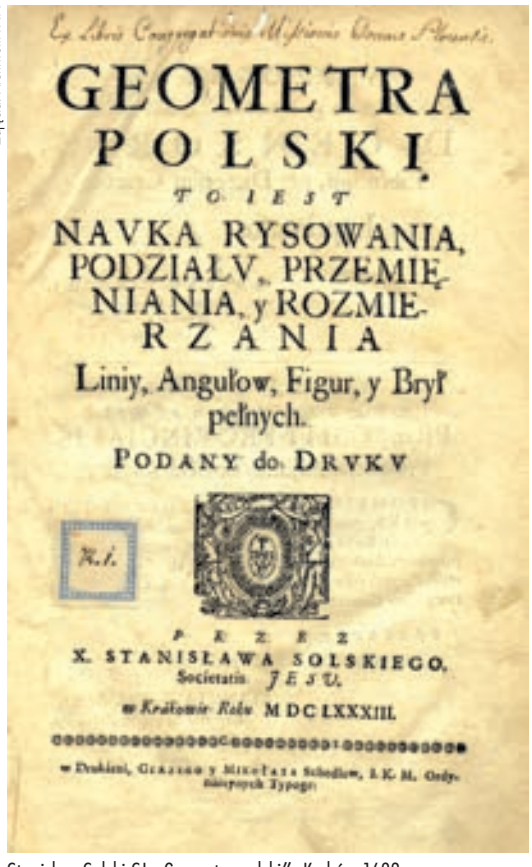
GEOMETRA
POLSKI
TO IEST
NAVKA RYSOWANIA,
PODZIAŁV, PRZEMIE-
NIANIA, y ROZMIE-
RZANIA
Liniy, Angułow, Figur, y Brył
pełnych.
PODANY do DRVKV
PRZEZ
X. STANISŁAWA SOLSKIEGO,
Societatis JESV.
w Królowie Roku MDCLXXXIII.

Stanisław Solski SJ „Geometra polski", Kraków 1683 r.

Dokument z pieczęcią i podpisem króla Stefana Batorego, nadający dobra jezuitom po utworzeniu Akademii Wileńskiej, 1580 r.

„Wieniec szkolny dla wiekopomnej nagrody za osobliwszą pilność i postępek w religii, moralności, obyczajach i nauce" przyznany przez Szkoły Warszawskie Księży Pijarów uczniowi Stanisławowi Kotowskiemu, 1811 r.

skórze zasłużonej dla nauki kozy). Z 1580 r. pochodzi natomiast dokument w języku staroruskim z podpisem i pieczęcią średnią koronną króla Stefana Batorego (64 mm średnicy), nadający dobra jezuitom po utworzeniu Akademii Wileńskiej w 1579 r.

Materiały w postaci dokumentów i akt są uzupełniane przez specjalne kolekcje. W kolekcji fotograficznej (ponad 30 tys. zdjęć i fotokopii) najstarsza jest reprodukcja dagerotypu sprzed 1860 r., prezentująca córkę Samuela Bogumiła Lindego, autora sześciotomowego „Słownika języka polskiego", Annę z Lindów Brandt z mężem Ksawerym oraz dziećmi Emilią, Wandą i Władysławem. W kolekcji kartograficznej (około 1200 jednostek) na uwagę zasługują XIX-wieczne mapy Azji Leona Barszczewskiego, odkrywcy starożytnej Samarkandy, badacza m.in. emiratu bucharskiego, fotografa, geologa i glacjologa, czy też mapa trasy profesora Adolfa Nordenskiölda, skandynawskiego geologa, podróżnika, mineraloga, który w 1878 r. wziął udział w wyprawie wokół północnych brzegów Azji. W kolekcji medalierskiej (ponad 1000 medali, medalionów, plakiet i odznaczeń związanych tematycznie z nauką) najstarszy jest srebrny medal zaszczytny z 1765 r. króla Stanisława Augusta, przyznany publicyście, pijarowi, założycielowi Collegium Nobilium Stanisławowi Konarskiemu, ze słynną inskrypcją *Sapere auso* (temu, który odważył się być mądry).

Biblioteka Archiwum PAN stanowi zarówno dopełnienie zasobu, zwłaszcza za sprawą licznych sprawozdań uczelni (składy osobowe i spisy wykładów), szkół średnich, akademii i towarzystw naukowych od XVIII wieku do chwili obecnej, jak i zaplecze warsztatowe dla pracowników Archiwum i korzystających z jego zbiorów badaczy. Biblioteka liczy ponad 11 tys. woluminów wydawnictw zwartych i prawie tyle samo woluminów wydawnictw ciągłych. W jej skład wchodzi także 80 starodruków. Najstarszy z nich – dzieło Stanisława Solskiego SJ „Geometra polski", wydane w Krakowie w 1683 r. – to pierwsza książka po polsku, w której zawarto rysunki używanych wówczas urządzeń technicznych, reprodukcje m.in. rysunków Stanisława Solskiego, opatrzonych uwagami o wydajności maszyn i przestrogami dotyczącymi bezpieczeństwa pracy; oraz słownik wyrazów techniczno-budowlanych.

W celu ułatwienia i ujednolicenia opracowywania spuścizn Archiwum PAN wydało w 1958 r. „Wytyczne opracowania spuścizn, projekt" (drugie wydanie pochodzi z 1990 r.) wykorzystywane również w wielu innych archiwach i bibliotekach.

W 1999 r. ukazała się ostatnia edycja „Przewodnika po zasobie Archiwum PAN". Od 1959 r. APAN wydaje rocznik „Biuletyn Archiwum Polskiej Akademii Nauk", w którym publikowane są m.in. inwentarze archiwalne oraz katalogi wystaw, informatory i okolicznościowe książki. W 2013 r. wyszedł 54. numer „Biuletynu...", zawierający obszerny suplement do „Przewodnika po zasobie Archiwum PAN", obejmujący nabytki APAN po 1999 r. Wydawane też są foldery i informatory, często redagowane w różnych językach, zawierające informacje o instytucji, reprodukcje zdjęć, dokumentów, meda-

li, map. Ciekawostką może tu być bibliofilskie wydawnictwo „Oni", opublikowane z okazji 50-lecia Archiwum PAN, zawierające autografy najwybitniejszych przedstawicieli nauki polskiej i światowej, których spuścizna lub tylko korespondencja przechowywane są w naszym zasobie. Z kolei z okazji 60-lecia Archiwum PAN ukazał się nowy informator o APAN z tekstami w języku polskim, angielskim i rosyjskim.

Pracownicy APAN popularyzują zbiory i osiągnięcia polskiej nauki, biorąc udział w krajowych i międzynarodowych konferencjach, sesjach i zjazdach. Wystawy przedstawiające bogaty zasób Archiwum PAN, często organizowane we współpracy z krajowymi i zagranicznymi ośrodkami naukowymi (szczególnie owocnie rozwija się współpraca z Archiwum Rosyjskiej Akademii Nauk), pokazywane są w różnych miejscach w Polsce i na świecie. I tak ekspozycja „Polscy badacze Syberii" od 2008 r. nieprzerwanie cieszy się dużą popularnością w wielu miastach Polski, Ukrainy i dalekiej Azji: w Jakucku (ekspozycja stała w Muzeum Historii i Kultury Narodów Północy im. J.M. Jarosławskiego), Irkucku, Jenisiejsku, Krasnojarsku, Ułan Ude, Kiachcie, Nowosybirsku (ekspozycja stała w nowym Centrum Nauki i Kultury Polskiej), Tomsku, Barnaule, Gornoałtajsku i Bijsku. Inne wystawy przygotowane przez pracowników Archiwum PAN, jak np. „Polscy nobliści", „Kobiety w nauce", „Mikołaj Kopernik. Życie i dzieło", również zdobią liczne europejskie sale wystawowe i muzealne.

Od kilku lat w Noc Muzeów Archiwum PAN zaprasza gości na wystawy, prelekcje, konkursy dla dzieci, koncerty, prezentacje filmowe i komputerowe, pokazy mody oraz zwiedzanie z przewodnikiem zwykle zamkniętych dla osób postronnych reprezentacyjnych sal Pałacu Staszica. Wszyscy polubiliśmy ten magiczny wieczór z jego niepowtarzalną atmosferą, zgiełkiem głosów gości przepływających przez pałacowe wnętrza, na co dzień pełne zadumy i powagi. W ostatnią Noc Muzeów odwiedziło nas około 3,5 tys. osób. Uczestniczymy też w Festiwalu Nauki, jesteśmy na zainicjowanym przez dyrektor Archiwum Hannę Krajewską Warszawskim Pikniku Archiwalnym oraz na obchodach kolejnych rocznic urodzin Stanisława Staszica.

Archiwum PAN jest również członkiem Międzynarodowej Rady Archiwalnej, a w jej zarządzie od lat zasiada dyrektor Hanna Krajewska, działająca również aktywnie w Grupie Wyszehradzkiej Archiwistów. Cała ta działalność wskazuje na to, że Archiwum Polskiej Akademii Nauk nie jest składnicą starych, zakurzonych, często zagrzybionych, nikomu niepotrzebnych papierów, lecz miejscem, gdzie można zdobyć sporo ciekawych informacji, a zarazem rozpalić wyobraźnię i przeżyć wiele wzruszeń...

dr Joanna Arvaniti – kustosz Archiwum Polskiej Akademii Nauk

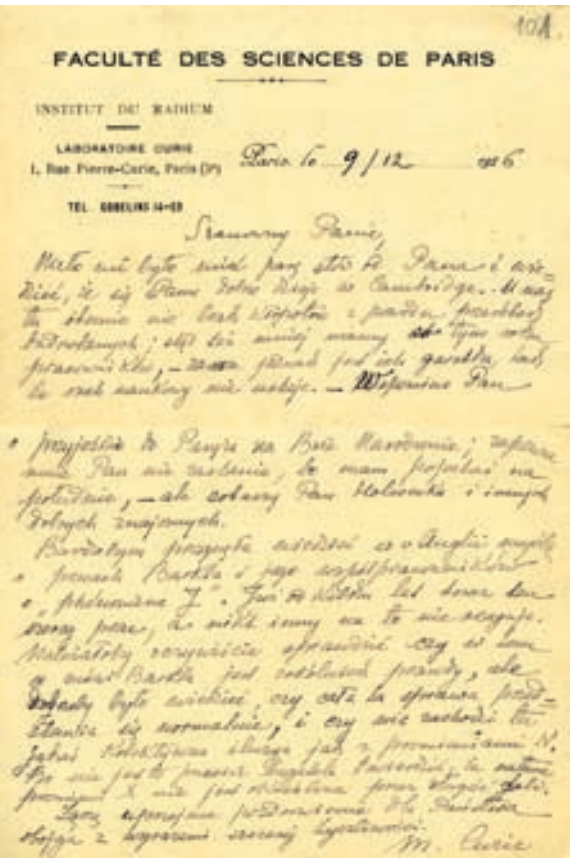
FACULTÉ DES SCIENCES DE PARIS

INSTITUT DU RADIUM

LABORATOIRE CURIE

Paris le 9/12 06

Szanowny Panie,

List Marii Skłodowskiej-Curie do Ludwika Wertensteina, jej ucznia i współpracownika, profesora Wolnej Wszechnicy Polskiej i kierownika Pracowni Radiologicznej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, 1926 r.

Rodzina Samuela Bogumiła Lindego – od lewej: Emilia Brandt, Ksawery Brandt, Wanda Brandt, Anna z Lindów Brandt, Władysław Brandt, reprodukcja dagerotypu, przed 1860 r.

PREZES

TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO WARSZAWSKIEGO

PRZYJACIÓŁ NAUK

Patent przyjmujący Jana Christiana Schucha, ogrodnika, planistę ogrodów w Łazienkach Królewskich, w poczet członków czynnych Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, 1811 r.

W grudniu 2013 r. zupełnie niezauważona minęła druga rocznica śmierci ADAMA HANUSZKIEWICZA. W czerwcu tego roku, gdyby żył, skończyłby 90 lat. Przypominamy tę jedną z najwybitniejszych postaci powojennego polskiego teatru w nadziei, iż środowisko warszawskich scen, animatorów i włodarzy kultury zdąży do czerwca przygotować należyte upamiętnienie Artysty, który już u schyłku swojego życia, odsunięty od głównego nurtu wydarzeń artystycznych, odchodził w zapomnienie

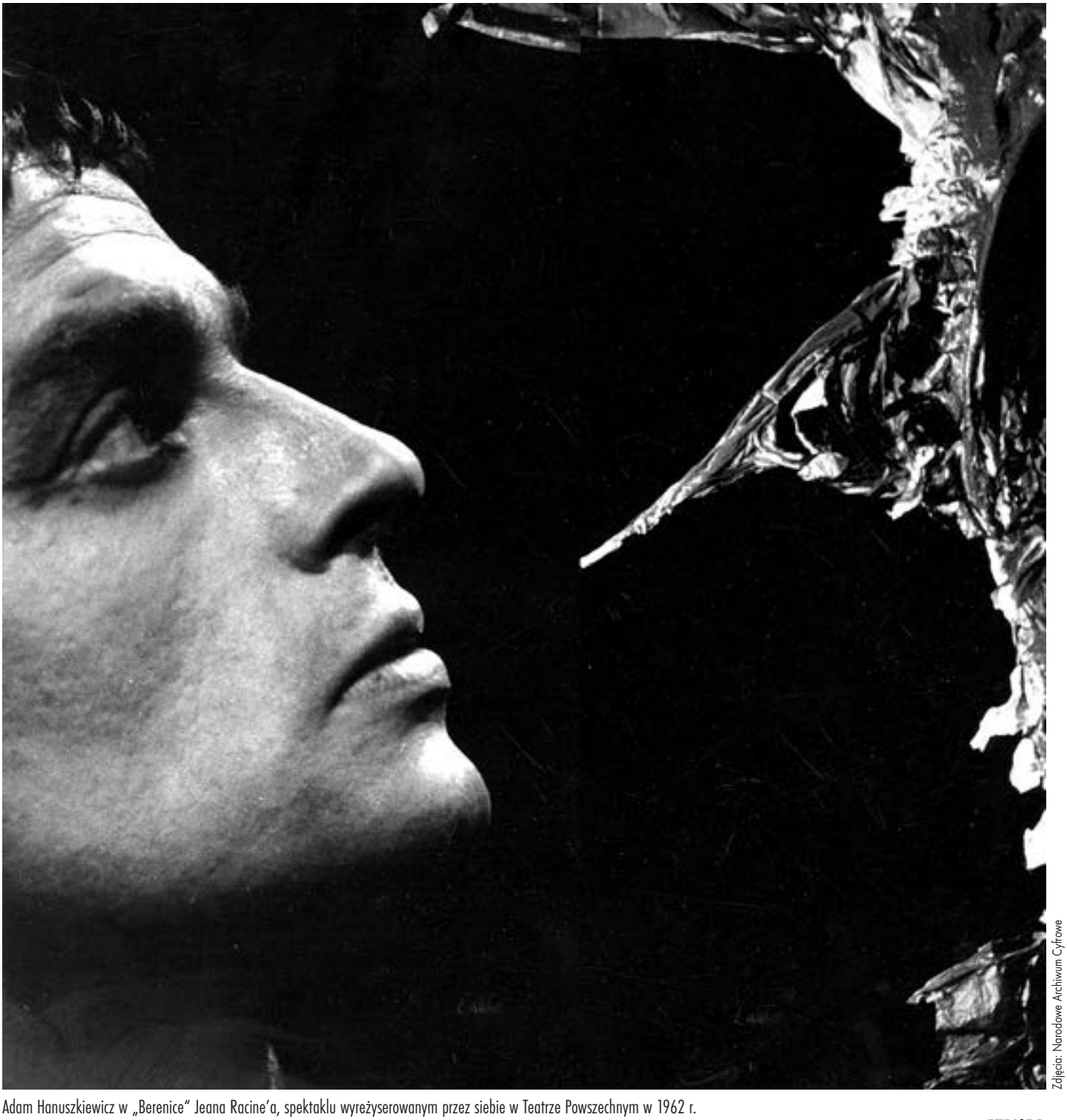

Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Adam Hanuszkiewicz w „Berenice" Jeana Racine'a, spektaklu wyreżyserowanym przez siebie w Teatrze Powszechnym w 1962 r.

Miał w sobie coś z Pigmaliona

O Adamie Hanuszkiewiczu z ZOFIĄ KUCÓWNĄ rozmawia Rafał Dajbor

Rafał Dajbor: Jakim człowiekiem był Adam Hanuszkiewicz?

Zofia Kucówna: – Obserwowanie Hanuszkiewicza, jego nieustannych poszukiwań siebie samego w sztuce było fascynującą przygodą. Zanim go nie poznałam, nie wiedziałam, że człowiek może tak się zmieniać. W życiu był trudny. Jedyną naprawdę ważną rzeczą, o którą się starał, walczył, był on sam w świecie sztuki. To był dla niego priorytet. Miał w sobie coś z Pigmaliona, chciał kreować zarówno siebie, jak i ludzi, którzy z nim pracowali. Przyjaźnił się z wybranymi, pojedynczymi osobami. Lubił mieć „dwór", ale nadmiernej bliskości z nim nie szukał.

Do jego gabinetu w teatrze zaglądała prof. Maria Janion, prof. Alina Witkowska i wiele innych sław nauki. Trochę żałuję, że nie interesowałam się bliżej, kto go odwiedza, z kim toczy zażarte dyskusje, ale z całą pewnością była to najwyższej próby elita intelektualna.

Grała Pani z Hanuszkiewiczem na scenie, oglądała go Pani jako widz...

– Jakim był aktorem? Warunki fizyczne predysponowały go do ról ludzi z wyższych sfer, a ponieważ posiadał także pewien pierwiastek demoniczności, więc sprawdzał się również w rolach negatywnych. Kreacje, które stworzył, były znakomite. Nie rozumiałam panującej wokół niego nieustannie atmosfery krytyki, drwin, braku akceptacji. Sądzę, że wiele było w tym zawiści. Powiem wprost – trudno jest ścierpieć kolegę, który ma 187 cm wzrostu, jest wybitnie przystojny i emanuje wielkopańskim stylem bycia. Raskolnikowa w „Zbrodni i karze" zagrał *con amore*, jako Don Juan był zjawiskowy – jeśli o mężczyźnie wypada tak powiedzieć. Koledzy z Comédie-Française, którzy w owym czasie byli na gościnnych występach w Teatrze Narodowym, przyszli do nas, do Powszechnego, zobaczyć Don Juana. Wyszli autentycznie poruszeni dwiema kreacjami – Lutkiewicza jako Sganarela i Hanuszkiewicza jako Don Juana. To, co mówili o tych dwóch rolach, wpisywało je w poczet kreacji na miarę historyczną, ale niechęć naszych kolegów nie pozwoliła, by tak się stało. Widziałam też jego Hamleta. Nie wiem, czy zaakceptowałam go całkowicie. W moim odczuciu Hamlet to postać młodzieńcza, niemalże chłopięca,

Z Zofią Kucówną w „Fantazym" Juliusza Słowackiego, Teatr Powszechny 1967 r.

a Hanuszkiewicz był już wtedy mężczyzną dojrzałym. Widziałam go też jako księcia Dymitra Niechludowa w „Zmartwychwstaniu" Tołstoja, gdzie grał ze swoją pierwszą żoną – Zofią Rysiówną. Oboje byli fenomenalni. Również w „Berenice" Racine'a ona była zjawiskowa w roli tytułowej, on równy jej. Te wszystkie role nie zostały docenione i przyjęte przez warszawskie środowisko teatralne, owszem, co najwyżej łaskawie pochwalone. Być może to, że spektakle te powstały nie w Śródmieściu, lecz gdzieś za Wisłą, na Pradze miało znaczenie. Już nieraz moja ukochana Warszawa pokazała swoją nielubianą przeze mnie twarz „warszawki".

A jak pracowało się Pani z Hanuszkiewiczem reżyserem?

– Bardzo dobrze. Dlaczego? On wymagał na próbach stuprocentowego efektu. Ja nie umiem markować ani też opowiadać, jak ewentualnie zagram tę lub inną scenę. Ja lubię – źle lub dobrze – zagrać od pierwszej próby z takim zaangażowaniem jak na premierze. Największym moim problemem podczas prób byli partnerzy niedający mi wszystkiego tego, co mieli zamiar potem zagrać, aktorzy markujący, mówiący zamiast całego monologu jedynie jego pierwsze i ostatnie

Fot. NAC

Adam Hanuszkiewicz w roli tytułowej w „Don Juanie" Moliera, Teatr Powszechny 1965 r.

zdania. U Hanuszkiewicza nie było mowy o czymś takim i dlatego lubiłam ten rodzaj pracy, bo był uczciwy wobec partnera i całego zespołu.

Szczytowy okres reżyserskiej twórczości Hanuszkiewicza to lata jego dyrekcji w Teatrze Powszechnym i pierwsze dziesięciolecie pracy w Teatrze Narodowym. Wystawił wtedy kanon polskiej literatury dramatycznej i wiele utworów z klasyki światowej. Najbardziej lubił te dramaty, gdzie o ich urodzie i scenicznej atrakcyjności decydował język, a zwłaszcza poezja. Jeśli chodzi o wymagania co do mówienia wierszem, to tu był nieubłagany. Sam robił to po mistrzowsku.

Był też Pani dyrektorem.

– Dyrektorował spokojnie, mając przy boku Tadeusza Kaźmierskiego, doskonałego dyrektora administracyjnego. Kiedy z kimś pracował, miał kogoś w swoim zespole – nie dał na niego powiedzieć złego słowa.

Odkrył dla nas Norwida

Z DANIELEM OLBRYCHSKIM
rozmawia Rafał Dajbor

Ale miał jedną przywarę. Czasem wyróżniał kogoś, wykazywał wyraźną fascynację czyjąś osobowością i nawet nie krył tego. Gdy jednak uznał, że ową osobowość już odkrył – jego zainteresowanie natychmiast malało i robił wrażenie, że zaczyna się nudzić. To jednak była jego jedyna wada jako szefa zespołu aktorskiego. Miał aktorów, których cenił szczególnie. Uwielbiał Gustawa Lutkiewicza, szanował Mariusza Dmochowskiego, cenił wiekowego Juliusza Łuszczewskiego, lubił Tadzia Janczara, ale tak naprawdę bliski był mu każdy aktor z jego zespołu. Uwielbiał młodzież i umiał ją zdobywać, uwodzić, zjednywać. Jest wielu aktorów, którzy Hanuszkiewiczowi zawdzięczają bardzo wiele, by nie powiedzieć, że niemal wszystko. Należą do nich w moim odczuciu m.in. Anna Chodakowska, Bożena Dykiel, Wiktor Zborowski, Krzysztof Kolberger, który zasłynął jako znakomity interpretator poezji, a który owe umiejętności w lwiej części zawdzięczał „szkole", jaką przeszedł w teatrze Hanuszkiewicza. Wreszcie Daniel Olbrychski – przez Wajdę „wychowany" na znakomitego aktora filmowego, a przez Hanuszkiewicza właśnie na aktora teatralnego. Ja również wiele zawdzięczam Hanuszkiewiczowi.

Teatr był jego miłością i fascynacją. Więcej – narkotykiem. Gdy odebrano mu ten nałóg – odciął się od świata, jakby nie chciał już w nim brać udziału.

Zofia Kucówna – aktorka, pedagog, pisarka. W 1955 r. ukończyła krakowską PWST. Aktorka teatrów: Bagatela w Krakowie, im. Juliusza Osterwy w Lublinie, Powszechnego, Ateneum, Narodowego i Współczesnego w Warszawie. Grała m.in. Sonię w „Zbrodni i karze", Dianę w „Fantazym", Laurę w „Kordianie", a także Pannę Młodą i Gospodynię w kolejnych premierach „Wesela" reżyserowanych przez Adama Hanuszkiewicza. Ma w dorobku liczne role w filmach i przedstawieniach Teatru Telewizji i Teatru Polskiego Radia

Rafał Dajbor: Jakie miejsce zajmuje Adam Hanuszkiewicz w polskim teatrze jako twórca inscenizacji klasyki literatury?

Daniel Olbrychski: – Takiego twórcy przedstawień opartych na klasyce polskiej, a także światowej nie było wcześniej w dziejach polskiego teatru. Jestem pewien, że historia w końcu przyzna należne mu miejsce. Faktem jest bowiem, że recenzenci nie zawsze go głaskali, ale przecież nawet te recenzje, w których go krytykowano, nie umniejszały jego znaczenia.

Na czym Pana zdaniem polegało nowatorstwo Adama Hanuszkiewicza jako reżysera?

– Był mistrzem zarówno w samym odczytaniu tekstu, jak i w nadaniu formy teatralnej utworom kompletnie niescenicznym, jak w wypadku poezji Norwida czy Słowackiego. Pamiętam, jak Jack Lang, minister kultury Francji, opowiadał mi, że był olśniony formą teatralną „Beniowskiego", choć przecież nie rozumiał

Fot. R. Dudley/Archiwum Artystyczne Teatru N arodowego

Słynna „Balladyna" z hondami, tragedia Juliusza Słowackiego wystawiona przez Adama Hanuszkiewicza w 1974 r. w Teatrze Narodowym

ani słowa. Podobnie było z publicznością rosyjską. Na *tournée* po Związku Radzieckim wzięliśmy „Hamleta", „Trzy siostry" i „Beniowskiego" i nie wiem, czy to właśnie nie „Beniowski" nie wywołał największego entuzjazmu. Oczywiście publiczność miała na uszach słuchawki z tłumaczeniem i to autorstwa znakomitych rosyjskich poetów. Widziałem jednak ze sceny, jak ludzie na widowni, jeden po drugim, zdejmowali te słuchawki. Uznali, że nie są im one potrzebne, tak bardzo chcieli obcować z polską mową. Czuli, że mają do czynienia z inscenizatorem, który wprowadził ich w niesamowity, bajeczny świat polskiej poezji. Śmiem powiedzieć, że nie było w historii europejskiego teatru nikogo, kto z taką łatwością jak Hanuszkiewicz przechodziłby z jednej teatralnej formy do drugiej, kto nie bałby się nadawać różnych form Szekspirowi, Czechowowi czy właśnie tak niescenicznym utworom jak poezja Norwida. Tak jak Zenon Przesmycki odkrył Norwida literacko – tak Hanuszkiewicz odkrył go teatralnie i uczynił tego ponoć trudnego w rozumieniu twórcę „poetą pokolenia". Na te przedstawienia ściągała młodzież z całej Polski, do teatru Adama Hanuszkiewicza przyjeżdżały „na Norwida" pełne pociągi.

Hanuszkiewicz często sięgał też po utwory Fredry.

– Hanuszkiewicz miał do Fredry najwspanialszy klucz, bo był reżyserem wyczulonym jak nikt na poezję, na wiersz. A muzyka wiersza wyznacza sposób grania sztuk fredrowskich. Jeśli się nie powie bezbłędnie frazy, nie postawi kropki, gdzie trzeba, nie weźmie oddechu, gdzie należy – to nic z tego nie będzie. Ponadto grając Fredrę, nie wystarczy wierszem mówić – trzeba też wierszem chodzić, poruszać się w rytmie poezji, a to nie każdy aktor sam z siebie potrafi, nie każdy ma do tego ucho, poczucie rytmu. A Hanuszkiewicz umiał to jednak z każdego właściwie aktora wydobyć!

A jak oceniał Pan słynne inscenizacyjne pomysły Adama Hanuszkiewicza, które nieraz ściągały na niego krytykę? Mam na myśli Kordiana na drabinie czy postacie z „Balladyny" na hondach.

Oczywiste jest, że gdy wystawiamy „Kordiana", to nie budujemy na scenie góry, a nawet jeśli, to nie będzie to prawdziwa góra. Kordian ma po prostu stać trochę wyżej. To było tak, że na próbie Adam poprosił, by Andrzej Nardelli wszedł na dwuskrzydłową drabinę, po to, by znalazł się wyżej, by miał poczucie, że nie jest mu łatwo utrzymać równowagę. I nagle stwierdził: „O, to jest dobre"! I było – był to bardzo wyrazisty i atrakcyjny dla widowni efekt sceniczny.

Fot. F. Myszkowski/Archiwum Artystyczne Teatru Narodowego

Daniel Olbrychski i Mariusz Dmochowski w „Beniowskim" Juliusza Słowackiego w Teatrze Narodowym, 1971 r.

A co do „Balladyny" – jak mieliby się znaleźć na scenie Chochlik i Skierka? Oczywiście mogli fruwać na motolotniach, ale motolotnia w teatrze raczej nie miałaby racji bytu. Trzeba było jakoś pokazać, że te postacie są z innego świata niż realni bohaterowie. Wjazd Chochlika i Skierki na hondach był podwójnie ciekawy – po pierwsze, można było zobaczyć te japońskie motocykle, rzadkie i atrakcyjne w siermiężnym komunizmie, po drugie, był to znakomity efekt teatralny – oto przyjechali jacyś kosmici, Marsjanie, jakieś stwory z innego świata! Myślę, że sam Słowacki nie miałby nic przeciwko temu, zwłaszcza że dla niego motocykl byłby rzeczywiście czymś na kształt pojazdu marsjańskiego. Na koniec powiem tak: wszyscy autorzy, za których brał się jako reżyser Adam Hanuszkiewicz, a byli to Czechow, Słowacki, Mickiewicz, Fredro, na pewno chętnie napiliby się wina i zjedli smaczną kolację właśnie z Hanuszkiewiczem, a nie z recenzentami, którzy jego inscenizacje uznawali za obrazoburcze. Wszyscy ci autorzy mieli bowiem wielkie poczucie humoru i poczucie formy teatralnej, którą jak nikt rozumiał właśnie Adam Hanuszkiewicz.

Daniel Olbrychski – aktor teatralny i filmowy. Światową sławę przyniosła mu współpraca z Andrzejem Wajdą, u którego wystąpił w 12 filmach, w tym w nominowanych do Oscara „Ziemi obiecanej" i „Pannach z Wilka". Grał w filmach polskich, rosyjskich, węgierskich, niemieckich, francuskich, włoskich, jugosłowiańskich, brytyjskich, irlandzkich i amerykańskich. Jako aktor teatralny związany był przede wszystkim z teatrem Adama Hanuszkiewicza, który powierzył mu m.in. tytułowe role w „Hamlecie" i „Beniowskim", a także rolę Stańczyka w „Weselu"

20 lat wokół Hana

Mógłbym powiedzieć, że miałem zaszczyt być obdarzony przez Adama przyjaźnią – mówi ANDRZEJ GOLIMONT. – I to byłaby prawda – choć wielu osobom przyjaźń ludzi, których różni prawie pół wieku w metryce, nie mieści się w głowie

Mógłbym też powiedzieć, że zdarzało mi się być jego współpracownikiem, ale tak naprawdę, on zawsze tworzył sam, a my byliśmy mu co najwyżej potrzebni jako swoiści giermkowie, których zadaniem było wykonywanie drobnych, nieskomplikowanych czynności. Kazimiera Iłłakowiczówna, przez dziewięć lat pełniąca funkcję sekretarza Józefa Piłsudskiego, określiła swoje relacje z marszałkiem jako „ścieżkę obok drogi". Zachowując proporcje, mógłbym się pod tym podpisać.

Najmilej wspominam czas Adamowego „letniego tworzenia". Przez lata wyjeżdżaliśmy do pałacu w Osiekach lub ośrodka w Dadaju. Bez żon, za to z psami i walizami książek. Po śniadaniu był „czas gazet". Potem „czas pracy". Po późnym obiedzie „czas mówienia". Adam kochał mówić. I umiał to robić. Ale – wbrew obiegowej opinii – potrafił także słuchać.

Na temat teatru Hanuszkiewicza napisano kilkadziesiąt prac magisterskich i kilka doktoratów. Gdybym odrębność tego teatru miał określić jednym zdaniem, to powiedziałbym, że to do końca był teatr... dziecka. Świeży i eksperymentujący. Niebojący się łamania stereotypów, szukania w tekście tego, czego inni do tej pory nie zauważyli. Przez te z górą 20 lat orbitowania wokół Hana miałem okazję obserwowania, jak te same przedstawienia przyjmowała różna publiczność. I różna krytyka. Jeśli chodzi o aktorów, to miał doskonałe oko i rzadko się mylił. Wystarczy spojrzeć na listę tych, którzy „u Hanuszkiewicza" debiutowali lub dostawali pierwsze poważne role. Potrafił przy tym dostrzec talent u osób do tej pory niezauważanych. Wszyscy pamiętają o Olbrychskim czy Jungowskiej. Ale należałoby też wspomnieć o Robercie Kudelskim, zwłaszcza w roli Romea, czy ściągniętej do Warszawy przez Hana Grażynie Zielińskiej. A genialna Edyta Torhan? A olsztyńska aktorka Wiesława Niemaszek? Można tak wymieniać w nieskończoność.

Fot. Archiwum A. Golimonta

Jedno z ostatnich zdjęć Adama Hanuszkiewicza

Naturalnie rozmawialiśmy z Adamem też o jego śmierci. Nie bał się o tym mówić. I zawsze gdy dochodziło do tematu pogrzebu – pół żartem pół serio – zaznaczał: „Tylko dopilnuj, żeby nie próbowali przemawiać nad moim grobem". Tu czasem dodawał nawet kilka nazwisk.

Jestem dość często na Powązkach i nie zdarzyło się, by na grobie Hanuszkiewicza nie paliły się znicze, nie leżały świeże kwiaty, nie stali ludzie. Pamiętają go i jako aktora, i jako reżysera. Wystawy, spotkania odbywają się regularnie, ale – jak to zwykle i z nim bywało – poza Warszawą. Wspaniały wieczór przygotował Marek Mokrowiecki w płockim teatrze, wystawę i wieczór wspomnień – teatr w Opolu. Adam doczekał się też pierwszej ulicy swojego imienia – w Łodzi. Staramy się z Magdą Cwenówną [żoną artysty] uporządkować jego archiwum, uratować nagrane na VHS próby i premiery. Mam nadzieję, że lada chwila uda się uruchomić poświęconą Hanuszkiewiczowi stronę internetową.

Notował Rafał Dajbor

Andrzej Golimont – dziennikarz, autor książek (m.in. „Generałowie bezpieki"), radny Warszawy, przyjaciel i współpracownik Adama Hanuszkiewicza

Miejscy odmieńcy

Maria Terlecka

Nie ma już prawdziwych wariatów. Co to za wariat, który gada do siebie? Dziś każdy gada do siebie. Co to za wariat, który chodzi zimą po mieście w samej koszuli? Owszem, trochę różni się od zwykłych przechodniów, ale przecież nie tak bardzo. Znikają z ulic miasta malowniczy odmieńcy. Pozamykano ich, nie wychodzą z domów? Wariat miejski to ktoś, kto w pełni istnieje dopiero w miejskim pejzażu, krąży po ulicach, jeździ autobusami, spaceruje po parku i wygląda inaczej niż reszta mieszczuchów; nosi kostium, który go wyróżnia z tłumu i odgrywa zrozumiały tylko dla siebie spektakl. Dziś dziwne ubranie nie oznacza już odchylenia od normy, ludzie noszą ekstrawaganckie stroje, łączą style, szarżują z kolorami, motają na głowach chusty, zakładają czapki, kaptury i co tam kto ma. Już nie sposób wypatrzeć wśród przechodniów prawdziwego odmieńca. Przed laty poznawałam ich również po butach, dziś już się nie da. Jerzy Pilch wyznał w jakimś wywiadzie, że wyszedł kiedyś z domu w dwóch różnych butach i nikt nie zwrócił na to uwagi...

Krążył kiedyś po Krakowskim Przedmieściu ortodoksyjny Żyd, choć Żydem nie był, miał jedynie potrzebę bycia Żydem. Od dawna nie pokazuje się też kobieta motyl, ubrana w krepiny, bibułki, tiule, koronki, wstążeczki i kokardy. Wyłaniała się spod podcieni socrealistycznego budynku na placu Leńskiego (teraz Hallera). Wędrowała, nie widząc nikogo i niczego. Ci, którzy zobaczyli ją po raz pierwszy, zagapieni wpadali na latarnie. Nie ma Romea i Julii, pary koczującej nad Wisłą. Ona była ubrana w sute spódnice i wielki kapelusz, on zaś nosił długi skórzany płaszcz na gołe ciało. Płaszcz guzików nie miał i na ogół „się nie domykał". Nie jeździ po Pradze kobieta z żeliwnym garnkiem na głowie. Jeszcze w zeszłym roku widziano na Targowej króla w papierowej koronie. Pogodnego, przyjaznego ludziom. Nosił, mimo mrozu, buty na gołe nogi, zamiast spodni – białe kalesony. Umarł? Zamknęli go za sianie zgorszenia na ulicach Pragi? Ci odmieńcy poznikali z pejzażu miasta. Honor dawnych, barwnych dziwaków ratuje facet na rowerze obwieszony flagami, chorągiewkami, proporczykami. Część „sztandarów" wystaje mu z kapelusza. Rowerzysta przemyka między autami jak zjawa z innego wymiaru rzeczywistości.

Miejsce kolorowych odmieńców zajmują teraz bezdomni, przeważnie brudni i cuchnący. I bez radości życia. Jeżdżą po mieście obładowani „dobytkiem". Wysiadają przy Dworcu Centralnym, wtapiają się w tłum i stają się częścią ruchliwej ludzkiej masy.

Zdjęcia: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Obrazy będące własnością Abe Gutnajera – Józef Simmler „Portret mężczyzny", Jean-Baptiste Belin de Fontenay „Owoce i naczynia" oraz Aleksander Gierymski „Widok okolic Zamku Kufstein I" – zaginione podczas II wojny światowej i do dzisiaj nieodnalezione

Utracone kolekcje

Roger Piaskowski

Już we wrześniu 1939 r. niemieckie instytucje okupacyjne rozpoczęły w Polsce systematyczny rabunek dzieł sztuki. Zajmowały się tym m.in. wyspecjalizowane jednostki, takie jak SS-Einsatzkommando Paulsen

W 1940 r. żydowscy antykwariusze w Warszawie, mając świadomość, iż za chwilę zostaną przeniesieni do getta, często podejmowali decyzje o przekazaniu interesów w ręce zaprzyjaźnionych, godnych zaufania warszawiaków. I tak Abe Gutnajer, jeden z największych antykwariuszy II Rzeczypospolitej, organizator wielkich aukcji i wystaw malarstwa polskiego, powierzył swój majątek antykwaryczny przyjacielowi Edmundowi Mętlewiczowi, który na jego zlecenie sprzedawał płótna w warszawskich antykwariatach Skarbiec i Miniatura. Z kolei byli pracownicy Banku Gospodarstwa Krajowego utworzyli przy ulicy Wareckiej spółdzielnię Spólnota i kontynuowali pracę w antykwariacie wysiedlonego I. Reingewirca. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży w taki sposób zabezpieczonych dzieł sztuki były przekazywane przez mur getta, umożliwiając przeżycie ich właścicielom i ich rodzinom.

Rozwijały się też nieformalne formy współpracy. Natanel Sakiel, któremu udało się żyć poza gettem i który prawdopodobnie był cichym wspólnikiem Zofii Leśniewskiej, właścicielki galerii przy Mazowieckiej, przekazał jej swój likwidowany antykwariat. Przy ulicy Kruczej

w antykwariacie prowadzonym przez Leonarda Pękalskiego i Wandę Polkowską wystawiano obrazy wybitnego, żyjącego w getcie malarza Romana Kramsztyka (prace były przemycane przez mur). *Notabene* Kramsztyk, którego słynny portret Jana Lechonia wszedł do kanonu malarstwa polskiego, zanim zginął w 1942 r., zdołał stworzyć wstrząsający cykl rysunków z getta, częściowo zachowany w Żydowskim Instytucie Historycznym. Los większości jego prac ciągle jest jednak nieznany.

Rynek sztuki był jednym z fenomenów życia pod okupacją w Warszawie. Zwłaszcza na ulicy Mazowieckiej, nazwanej przez Niemców Blumenstrasse, gdzie pod szyldem kawiarni Krynolina działała zakamuflowana galeria. Przy tej ulicy funkcjonowały także antykwariat Czesława Garlińskiego i księgarnia Logos prowadzona przez Stanisława Dzikowskiego, zaś niedaleko nich swoją galerię miała Zofia Leśniewska. Pod numerem 13 w kawiarni Miniatura Jakub Chomętowski prowadził na piętrze antykwariat. Rynek antykwaryczny oferował nie tylko obrazy mistrzów malarstwa polskiego: Matejki, Chełmońskiego, Brandta, Aleksandra Gierymskiego, Gersona i Michałowskiego, ale także dzieła europejskich malarzy oraz cenne wyroby ze srebra, porcelany, platerów. Salony sztuki – jako miejsca spotkań towarzyskich – umożliwiały również działania konspiracyjne. Taką rolę odgrywały Skarbiec przy Kredytowej, Salon Sztuki Nike przy Marszałkowskiej i kilka innych galerii na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu.

Na odwrocie wielu obrazów najwybitniejszych artystów wystawianych na sprzedaż w okresie przedwojennym znajdowała się metryczka: „Salon Sztuki i Antykwarnia/Abe Gutnajer/Warszawa – Mazowiecka 16". Do dziś dzieła z kolekcji największego marszanda II RP Abe Gutnajera pojawiają się na aukcjach nie tylko w Polsce. Często trudno określić, czy są to prace z prywatnej kolekcji Gutnajera, czy też kogoś innego, kto wstawił je w komis do jego antykwariatu (to istotna informacja przy ustalaniu własności).

Do wybuchu II wojny Gutnajer królował wśród przedwojennych warszawskich antykwariuszy i marszandów, prowadząc życie światowca i mecenasa sztuki. To od jego nazwiska znany z ostrego dowcipu Antoni Słonimski utworzył zwrot „abegutnajeryzm" – na określenie zajmowania się czasami minionymi, w nawiązaniu do zainteresowania Gutnajera malarstwem XIX-wiecznym. Gutnajer nie mógł przewidzieć, jak potoczą się jego losy, gdy w 1917 r. nabył w Berlinie nieduży obraz olejny Pietera de Grebbera, przedstawiający z profilu młodego mężczyznę trzymającego w dłoniach kartkę papieru.

To ten obraz – zatytułowany „Portret czytającego mężczyzny" – Abe Gutnajer zabrał z sobą do getta i powiesił na ścianie w mieszkaniu przy ulicy Chłodnej 26. Tam właśnie 21 lipca 1942 r., podczas zabiegu przeprowadzanego przez przybyłego spoza getta wybitnego chirurga Franciszka Raszeję, wtargnęli żołnierze (zapewne z jednej z jednostek pomocniczych SS i gestapo, w których znajdowali się Łotysze, a także Litwini i Ukraińcy) i zamordowali wszystkich obecnych, a następnie dokonali grabieży. To najprawdopodobniej wtedy ręka jednego z oprawców ściągnęła ze ściany obraz Pietera de Grebbera, który następnie trafił do nadbałtyckiej Łotwy.

W 2008 r. światowe agencje doniosły, że „Portret czytającego mężczyzny", zrabowany w czasie Holokaustu, sprzedano w londyńskim domu aukcyjnym Christie's za ponad 90 tysięcy dolarów! Mimo że zyskami z transakcji podzielili się spadkobiercy syna Gutnajera ze Stanów Zjednoczonych i sprzedający obraz kolekcjoner z Łotwy, wydaje się, że wykrycie na rynku dzieła zrabowanego ofierze Holokaustu nie powinno się zakończyć tak kuriozalnie. Obraz ze względów moralnych powinien zostać wycofany z handlu. (Niestety, albo przepisy chronią posiadacza przed właścicielem, albo domy aukcyjne chronią anonimowość posiadacza, który zakwestionowany obraz wycofuje szybko z aukcji).

„Portret czytającego mężczyzny" Pietera de Grebbera, zrabowany Gutnajerowi, został sprzedany w 2008 r. w domu aukcyjnym Christie's za ponad 90 tysięcy dolarów

Johnny van Haeften, znawca malarstwa holenderskiego XVII wieku i renomowany marszand z Londynu, nabywca obrazu Grebbera (zakupionego zresztą wyłącznie z uwagi na walory artystyczne), jakiś czas temu zwrócił Polsce dzieło innego słynnego malarza holenderskiego Adriaena Brouwera, kiedy dowiedział się, że został on skradziony. W wypadku obrazu Gutnajera prawo rynku zatriumfowało nad sprawiedliwością, tym bardziej że początkowo wyceniony na tysiąc funtów i błędnie rozpoznany w Christie's obraz (uznany za przeciętne dzieło anonimowego malarza angielskiego), dzięki wykryciu jego prawdziwego pochodzenia i autorstwa przez ekspertów poszukujących dzieł zagrabionych ofiarom Holokaustu, osiągnął gigantyczne „przebicie", przynosząc nadspodziewany zysk także anonimowej osobie z Łotwy.

Jakub Klejman, drugi – obok Gutnajera – znaczący antykwariusz warszawski pochodzenia żydowskiego, skutecznie ukrywał się w Warszawie poza murami getta i we wspomnianym salonie sztuki Skarbiec, prowadzonym przez Wandę Czernic-Żalińską, podstawione osoby

sprzedawały obrazy należące do jego przebogatych zbiorów. Interesującym źródłem informacji na temat Jakuba Klejmana są wspomnienia Stefana Talikowskiego, popularnego prawnika, kolekcjonera i znawcy antyków, którego z Klejmanem łączyły serdeczne stosunki jeszcze w czasach przedwojennych. *Nabyłem od dra Klejmana* – pisze Talikowski w „Kronice Talikowskich" (www.kronikatalikowskich.com) – *świecznik z końca XVII wieku, dwukondygnacyjny z orłem Zygmuntowskim w koronie, zakończony pod kulą kiścią winogron w liściach, łącznie szesnastoświecowy. Był to jeden z trzech świeczników sprzedanych w latach 1933-1938 przez Synagogę w Chmielniku w Kieleckiem dla zdobycia środków na nakazaną przez władze elektryfikację synagogi.* (...) *Kosztował bardzo dużo, 1200 złotych.* Klejman zdradzał Talikowskiemu arkana wiedzy specjalistycznej z zakresu wyrobów złotniczych. *Pan Jakub nauczył mnie odróżniać kolor stopu: od bladych, z domieszką cynku, do cudownie złocistych.* Od „pana Jakuba" Talikowski kupił akwarelę Juliusza Kossaka „Branka" i rysunek Jana Matejki, natomiast w dowód przyjaźni otrzymał w prezencie *ślicznie zachowany, ustawiony w bibliotece hełm huzarski z XVII wieku*.

Podczas jednej z wizyt w domu Klejmana Talikowski poznał Henryka Kucharskiego, utalentowanego konserwatora malarstwa, i z tą znajomością łączy się niezwykłe miejsce ukrywania się Jakuba Klejmana w ponurych czasach niemieckiej okupacji. Pisze Talikowski: *Pan Kucharski zajmował dawną pracownię Wojciecha Gersona na Okólniku. W tej właśnie pracowni ukrywał się w czasie okupacji dr Klejman, tu go odwiedzałem i tu wiele godzin na rozmowach spędziliśmy.*

Poszukiwanie zrabowanych dzieł malarskich z kolekcji Jakuba Klejmana trwa do dzisiaj. Rzecz dotyczy m.in. dwóch obrazów dawnych mistrzów baroku. Pierwszy – „W karczmie" – namalował Leonaert Bramer, malarz holenderski, znany ze scen rodzajowych i religijnych utrzymanych w ciemnej, kontrastowej kolorystyce, jak to widać na reprodukcji zaginionego obrazu – depozytu Klejmana, odnotowanego w Muzeum Narodowym w Warszawie. Drugie dzieło, zatytułowane „Ryby morskie", wykonał malarz flamandzki Alexander Adriaenssen, specjalizujący się w niedużych martwych naturach.

Hitlerowscy funkcjonariusze, a zarazem historycy sztuki i archeolodzy, z determinacją zajmowali się tropieniem dzieł sztuki w Polsce i ich kradzieżą. Tacy jak Dagobert Frey, Peter Paulsen czy Kai Mühlmann (pełnomocnik Goeringa, a potem Franka do tzw. zabezpieczenia dzieł sztuki w Generalnym Gubernatorstwie) doprowadzili do grabieży majątku muzeów polskich oraz wielu obiektów ze zbiorów kościelnych i prywatnych. Do Berlina wysyłano nie tylko dzieła sztuki, wagony przewoziły również skonfiskowane skazanym na zagładę ludziom wyroby ze złota i srebra oraz biżuterię. Mechanizmy tego procederu zostały dobrze udokumentowane i opisane w artykule Nawojki

Polska w wyniku II wojny światowej straciła ponad 70 proc. materialnego dziedzictwa kultury

Od 1992 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, opierając się na własnych badaniach oraz zgłoszeniach osób prywatnych i instytucji, prowadzi rejestr zaginionych podczas wojny dzieł sztuki, zabytków, zbiorów bibliotecznych i archiwalnych z terenów Polski w granicach po 1945 r. Obecnie na liście znajduje się ponad 60 tys. obiektów, z czego tylko dla około 10 tys. zachowała się dokumentacja ikonograficzna. Wiele z tych przedmiotów to dzieła wybitnych artystów polskich, m.in. Matejki, Malczewskiego i Wyspiańskiego, oraz zagranicznych, np. Rafaela czy Caravaggia.

Uzyskane informacje publikowane są w ramach serii wydawniczej „Straty kultury polskiej" i wysyłane do ponad 100 domów aukcyjnych na całym świecie, polskich przedstawicielstw dyplomatycznych, zagranicznych placówek kulturalnych oraz rządowych i pozarządowych organizacji zajmujących się badaniami proweniencyjnymi. Są też udostępniane, oprócz strony internetowej MKiDN, na stronach Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, ambasady polskiej w Stanach Zjednoczonych i Central Registry of Information on Looted Cultural Property 1933-1945, gromadzącej tego typu informacje z różnych krajów.

Dzięki tym działaniom udało się już odzyskać wiele dzieł, takich jak m.in. „Apollo i dwie muzy" Pompea Batoniego, „Studium olejne – Chmury" Friedricha Philippa Reinholda czy „Odpoczynek w szałasie tatrzańskim" Wojciecha Gersona. Ministerstwo prowadzi starania o zwrot dzieł sztuki znajdujących się aktualnie w Rosji, Niemczech, Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Na stronie MKiDN dostępny jest również wykaz zabytków skradzionych lub nielegalnie wywiezionych za granicę, prowadzony przez Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów.

Kiedy na początku listopada odnaleziono w Monachium kolekcję ponad 1500 dzieł sztuki zaginionych podczas wojny, MKiDN niezwłocznie zaoferowało pomoc przy ich identyfikacji i weryfikacji. Z dotychczas udostępnionych 25 obiektów trzy pochodzą z przedwojennych prywatnych zbiorów wrocławskich. Ministerstwo czeka na publikację zdjęć kolejnych dzieł sztuki.

Cieślińskiej-Lobkowicz „Losy mienia kulturalnego polskich Żydów w okresie okupacji hitlerowskiej i w pierwszych latach powojennych", opublikowanym w „Art Antiquity and Law" (polska wersja w „Zagładzie Żydów", t. 6, 2010).

W artykule tym odnotowano też wypadki zwrotu skradzionych w czasie II wojny obiektów z żydowskich kolekcji, m.in. przez jednego z największych mecenasów sztuki Bronisława Krystalla – tego, który po śmierci żony Izabelli zamówił u Karola Szymanowskiego „Stabat Mater", dzieło dedykowane pamięci żony skrzypaczki. Wieloletni dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisław Lorentz przyjął od Bronisława Krystalla dary i depozyty do zbiorów publicznych w postaci dzieł sztuki, które z wielkim trudem ukrywano w czasie wojny przed nazistowskimi „kolekcjonerami". Nie zawsze skutecznie. Nie udało się przetrwać w ukryciu np. „Żydówce z pomarańczami" – obraz zniknął z Muzeum Narodowego w nieznanych okolicznościach. Na szczęście ocalał, odnaleziony w niemieckim miasteczku Buxtehude w 2010 r. (wrócił dzięki ugodzie finansowej MKiDN z posiadaczem!). Pieczołowita konserwacja po powrocie do Warszawy przywróciła blask niewątpliwemu arcydziełu Aleksandra Gierymskiego.

Polskie muzea, porządkując kwestie proweniencji dzieł sztuki w magazynach, stają niekiedy przed koniecznością zwrotu posiadanych obiektów. Tak było z obrazem Gustave'a Courbeta „Krajobraz z okolic Ornans" należącym do barona Mora Lipota Herzoga, który naziści zrabowali w 1944 r. w Budapeszcie, a który potem – błędnie restytuowany – trafił do Muzeum Narodowego w Warszawie. Obraz oddano po długich negocjacjach spadkobiercom węgierskiego właściciela.

Muzeum Narodowe w Gdańsku zwróciło zaś m.in. dzieło autorstwa holenderskiego mistrza XVII wieku Jana van Goyena „Chałupy nad kanałem", należące do holenderskiego kolekcjonera Jacques'a Goudstikkera. Niedawno np. Francja oddała kolejne dzieła z państwowych zbiorów – m.in. obraz „Różowa ściana" Henriego Matisse'a – spadkobiercom prawowitych właścicieli. Przypadków restytucji dzieł sztuki po 1998 r. we Francji, Holandii, RFN, a także m.in. w USA czy Izraelu jest wiele. Nadal jednak tysiące obiektów sztuki znajdujących się w muzeach i prywatnych kolekcjach pochodzi z nazistowskiej grabieży i czeka na powrót do prawowitych właścicieli i ich spadkobierców.

Źródła:

Zofia Bandurska, Dariusz Kasprzak, Piotr Kosiewski, Maria Romanowska-Zadrożna, Bożena Steinborn, Magdalena Tarnowska „Badania proweniencyjne muzealiów pod kątem ich ewentualnego pochodzenia z własności żydowskiej", „Muzealnictwo" 53/2012; Sławomir Bołdok „Antykwariaty artystyczne, salony i domy aukcyjne. Historia warszawskiego rynku sztuki w latach 1800-1950", Warszawa 2004; Nawojka Cieślińska-Lobkowicz „Judaika i zbiory judaików w Polsce od przedwojnia po dzień dzisiejszy. Zarys problematyki", „Kwartalnik Historii Żydów" 2(238)/2011; Nawojka Cieślińska-Lobkowicz „Losy mienia kulturalnego polskich Żydów w okresie okupacji hitlerowskiej i w pierwszych latach powojennych", „Zagłada Żydów. Studia i materiały" 6/2010

Zdjęcia: Muzeum Narodowe w Warszawie

Aleksander Gierymski „Żydówka z pomarańczami", 1880-1881

Anna Bilińska „Murzynka", 1884 r. - obraz odzyskany w 2012 r.

Skarby skarpy

Zakończył się już cykl imprez i spotkań fundacji Culture Shock zatytułowany „Skarby Skarpy" mający przybliżyć warszawiakom skarpę warszawską. Z efektami tego projektu można się zapoznać na stronie www.skarby-skarpy.blogspot.com.

Nalewki na fotografii

Fundacja Shalom, Centrum Kultury Jidysz i Stacja Muranów zapraszają na wystawę fotograficzną „Migrujące ulice Muranowa" do Stacji Muranów przy ulicy Andersa 13. „Bohaterką" zdjęć jest ulica Nalewki i jej okolice. Do 31 stycznia.

Zwyczajny rok 1934

„Historia polskich tułaczy II wojny światowej w Iranie" to wystawa fotograficzna, którą można oglądać w Domu Spotkań z Historią do 2 lutego. Druga ekspozycja „Zwyczajny 1934. Polska na zdjęciach Willema van de Polla" (od 23 stycznia do 6 kwietnia) przedstawia niepublikowane wcześniej zdjęcia z 1934 r. holenderskiego fotografa i fotoreportera, wykonane w Warszawie, Łowiczu, Wilnie oraz na pograniczu polsko-rosyjskim i polsko-litewskim.

Wspaniałe czasy Sinana

Tureckie miniatury z XVI wieku oraz prace współczesne nawiązujące do tradycji sprzed wieków znalazły się w Muzeum Azji i Pacyfiku przy ulicy Solec 24 na wystawie „Architekt Sinan i jego wspaniałe czasy". Ta ekspozycja to jedno z pierwszych wydarzeń kulturalnych zorganizowanych w ramach obchodów 600-lecia stosunków dyplomatycznych między Polską a Turcją. Do 22 lutego.

Poezja w Łazienkach

W Łazienkach odbędą się kolejne spotkania pod nazwą „Salony Poezji K40", podczas których w pięknej scenerii Starej Pomarańczarni można posłuchać wierszy czytanych i śpiewanych. Tym razem spotkania będą poświęcone twórczości Haliny Poświatowskiej. 19 i 26 stycznia.

Galeria Sztuki Średniowiecznej

Fot. B. Bojerski

Atrakcyjne średniowiecze

W związku z niedawnym otwarciem odnowionej Galerii Sztuki Średniowiecznej Muzeum Narodowe przygotowało dla zwiedzających bogaty program edukacyjny i kulturalny. W ramach cyklu sobotnich wykładów będzie można poznać historię muzealnych zbiorów sztuki średniowiecznej oraz zmieniający się z biegiem lat wystrój galerii. Na czwartkowych spotkaniach „Średniowiecze o zmroku" historycy sztuki, konserwatorzy, kostiumolodzy i historycy wojskowości przedstawią poszczególne zabytki z wielu różnych perspektyw. Dzieci natomiast będą mogły wziąć udział w warsztatach i animacjach plastycznych. Z kolei 9 lutego o godz. 18 odbędzie się koncert muzyki średniowiecznej „Wyśpiewać duszę, wyśpiewać niebo". Opis pozostałych atrakcji przygotowanych przez MN na www.mnw.art.pl.

Przypominamy też o kolejnych płytach z serii Kolekcja Muzeum Narodowego. Ostatnio ukazały się: „Barok", z utworami m.in. takich mistrzów, jak Antonio Vivaldi i Jan Sebastian Bach, płyta ilustrowana obrazem „Bóg Ojciec" autorstwa Guercina; „Średniowiecze", ilustrowane dziełem nieznanego artysty „Maria z Dzieciątkiem oraz święte Felicyta i Perpetua", oraz „Zima", kompilacja utworów z różnych okresów, przywołujących wspomnienie zimy i świąt Bożego Narodzenia, ilustrowana obrazem „Ślizgawka pod murami miasta" Thomasa Heeremansa. (ak)

Styczeń w Iluzjonie

18 stycznia przypada 110. rocznica urodzin **Cary'ego Granta,** znakomitego hollywoodzkiego aktora, znanego z takich produkcji, jak **„Filadelfijska opowieść"** (na zdjęciu z **Katharine Hepburn**) czy „Arszenik i stare koronki", oraz z filmów Alfreda Hitchcocka, m.in. „Północ, północny zachód" i „Podejrzenie". Z tej okazji kino Iluzjon zaprasza na przegląd filmów z jego udziałem (**do 23 stycznia**). W styczniowym programie Iluzjonu goszczą także aktorki Lucyna Winnicka („Matka Joanna od Aniołów", „Pociąg" – **do 23 stycznia**), Ingrid Thulin („Tam, gdzie rosną poziomki", „U progu życia" – **do 31 stycznia**), Juliette Binoche („Angielski pacjent", „Wichrowe Wzgórza" – **do 31 stycznia**) oraz reżyser, scenarzysta i operator filmowy Haskell Wexler („Lot nad kukułczym gniazdem", „Ameryka, Ameryka" – do 30 stycznia). W kinie odbędzie się też przegląd filmów kandydatów do Polskich Nagród Filmowych Orły 2014 (**do 29 stycznia**). Więcej informacji na www.iluzjon.fn.org.pl.(ak)

Fot. Beaute Prestige International, Francja

Karty do gry „Jean Paul Gaultier" z kolekcji Andrzeja Rzepkowskiego

Gry wyobraźni

Wszelkie eksponaty związane z grą w karty – ze zbiorów Muzeum Plakatu w Wilanowie oraz z kolekcji pasjonata kart Andrzeja Rzepkowskiego – można zobaczyć na wystawie „Gry wyobraźni". W wilanowskim muzeum oprócz cennych talii zabytkowych i współczesnych, projektowanych nawet przez takich artystów jak Salvador Dali, znalazły się też reprinty najstarszych europejskich kart z XVI-XVII wieku. Są tam również przyrządy służące tej rozrywce (m.in. pudełka na talie czy unikatowy podajnik do kart z początku XX wieku) i przedmioty, przy których projektowaniu wykorzystano motywy karciane (np. serwisy, popielniczki, papiery firmowe, opakowania słodyczy i książki). Nie zabraknie oczywiście plakatów, w zdecydowanej większości filmowych, teatralnych i operowych. (ak)

do 2 marca

Marcelo Cidade „Kocham i nienawidzę Lygii Clark", 2006 r.

Fot. D. Musa

Wizytówka Brazylii

Wystawa „Kocham i nienawidzę Lygii Clark" w Zachęcie przedstawia prace młodych brazylijskich artystów działających w cieniu modernistów starszej generacji, których dzieła, powstałe w latach 70., stały się swoistą wizytówką Brazylii i cenną częścią jej dziedzictwa kulturowego. Twórcy młodego pokolenia, zdając sobie sprawę z wagi tych osiągnięć, komentują je z perspektywy czasu. Niektórzy decydują się na odcięcie od tej tradycji i szukanie alternatywy. Obecne na ekspozycji dzieła reprezentują różne dziedziny sztuki – rzeźbę, instalację, relief, fotografię, film i konceptualne projekty narracyjne. W trakcie trwania wystawy można też wziąć udział w pokazach brazylijskich filmów. (ak)

do 23 lutego

Andrzej Jagodziński

Koncerty Urodzinowe

Mieszkańców Warszawy z pewnością zainteresuje festiwal Koncerty Urodzinowe organizowany już po raz piąty przez Stowarzyszenie Smolna i Towarzystwo im. Fryderyka Chopina z okazji urodzin naszego wielkiego kompozytora. Wystąpią muzycy z Polski, Niemiec, Włoch, USA i Wielkiej Brytanii. Oprócz klasycznych wykonań usłyszymy interpretacje bluesowe, jazzowe i etniczne. Koncerty będą się odbywać m.in. w Centralnej Bibliotece Rolniczej przy Krakowskim Przedmieściu, w Domu Towarowym Braci Jabłkowskich, w Skwerze – filii Centrum Artystycznego Fabryka Trzciny, w Pałacu Staszica i siedzibie Fundacji Atelier przy ulicy Foksal 11. 26 lutego w ramach projektu EUPlay „Przez muzykę do zjednoczonej Europy" zostanie pokazane przedstawienie opowiadające o związkach muzyki z polityką w dobie romantyzmu, na przykładzie takich postaci, jak Fryderyk Chopin, książę Adam Jerzy Czartoryski czy George Sand. Poza tym dzieci wraz z rodzicami będą mogły wziąć udział w warsztatach plastycznych i muzycznych inspirowanych muzyką Chopina. Wstęp na wszystkie imprezy jest wolny. Więcej informacji na www.chopin.smolna.org. (ak)

22 lutego-1 marca

Kipnis w ŻIH-u

Fotografie autorstwa Menachema Kipnisa (1878-1942), wybitnego polskiego śpiewaka, pisarza i fotografa, współpracownika nowojorskiego magazynu „The Forward", będzie można oglądać w Żydowskim Instytucie Historycznym. Na zdjęciach z kolekcji YIVO Institute for Jewish Research w Nowym Jorku Kipnis utrwalił życie mieszkańców żydowskich dzielnic i miasteczek w II RP. Od 30 stycznia.

Antoni Wit kończy 70 lat

Z okazji 70. urodzin Antoniego Wita, wybitnego dyrygenta i dyrektora Filharmonii Narodowej w latach 2002-2013, w gmachu przy Jasnej zostanie zorganizowany koncert symfoniczny, podczas którego Chór i Orkiestra Symfoniczna FN pod batutą Mistrza wykonają utwory Jana Brahmsa, Karola Szymanowskiego i Ryszarda Straussa. 7 lutego.

Akwarele Brzozowskiego

Wkrótce w Galerii Foksal zostanie otwarta wystawa prac Tytusa Brzozowskiego, akwarelisty i architekta, zafascynowanego Warszawą i jej atmosferą, łączącego w swych pracach prawdziwy obraz miasta z tym wyobrażonym i wymarzonym. Od 10 lutego.

POSUL na Stalowej

Praski Otwarty Samozwańczy Uniwersytet Latający (posul.waw.pl) kontynuuje bezpłatne wykłady w nowym miejscu – przy ulicy Stalowej 46, blisko pętli tramwaju 23 (w kawiarni To Się Wytnie w poniedziałki o godz. 19). Najbliższe wykłady: 20 I – Ewa Kalnoj-Ziajkowska: „Plany zagospodarowania Pragi w czasach Peerelu. Propaganda a rzeczywistość"; 27 I – Krzysztof Michalski: „Szmulowizna czy Michałów? Dzieje terenów wokół Bazyliki NSJ na Pradze"; 3 II – V. Ziutek, Frek i Stront: „Vlepka – lepka myśl ulotna. Historia warszawskich vlepek"; 10 II – Anna Ciałowicz: „Niewiarygodne acz prawdziwe historie praskich Żydów według varshe.org.pl".

Fot. A. Wencel

Powrót Szaloma Asza

Napisany sto lat temu przez Szaloma Asza **„Bóg zemsty"** to najsłynniejszy i najbardziej kontrowersyjny dramat tego autora, uważany przed laty za obrazoburczy, sprzeczny z nakazami religii. I dzisiaj opowieść o Jankielu, wystawiona w warszawskim Teatrze Żydowskim, może szokować. Albowiem dramat o na pozór pobożnym Żydzie, który w suterenie swego domu prowadzi dom publiczny, a dla swojej córki zamawia zwój Tory, by w końcu odkryć, że została ona prostytutką, wpisał Asz w przypowieść o starotestamentowym, mściwym Bogu, który nie umie przebaczać.

Spektakl toczy się wartko, postacie odmalowane są soczyście, obowiązuje szacunek dla realistycznego detalu, ale inscenizator nie boi się teatralnego skrótu. Sugestywne postacie, zwłaszcza powalonego nieszczęściem Jankiela (Henryk Rajfer) i cynicznego młodego alfonsa (Piotr Chomik) oraz wyraziste epizody, m.in. z udziałem niewidomego Skryby (Jerzy Walczak), czynią opowieść wiarygodną, a pieśń o losie, śpiewana przez Gołdę Tencer, staje się metaforyczną klamrą widowiska.

Walorem nie do przecenienia jest język – grając w jidysz (z symultanicznym tłumaczeniem na polski, angielski i hebrajski), Teatr Żydowski wraca tym spektaklem niejako do korzeni. Młody rumuński reżyser Andrei Muntéanu, związany z Teatrem Żydowskim w Bukareszcie, wykazał się nie tylko biegłą znajomością rzemiosła, ale także umiejętnością tworzenia czytelnej adaptacji. Na premierze obecny był wnuk pisarza Dawid Mazower. Wydarzeniu towarzyszyła promocja tomu dramatów Asza, wydanego staraniem miasta Kutna, które pamięta o swoim wybitnym obywatelu.

Tomasz Miłkowski

od 19 grudnia 2013 r.

Kolekcja. Fragment

Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski zaprasza na wystawę „Kolekcja. Fragment", prezentującą prace, które wzbogaciły zbiory CSW w ciągu ostatnich trzech lat. Dzieła wybitnych artystów z różnych dziedzin sztuki, m.in. Mirosława Bałki, Moniki Zawadzki, **Konrada Pustoły** (na zdjęciu jego praca z cyklu **„Niedokończone domy", Tro-**

jany 2005) czy Wojciecha Prażmowskiego, ukazują kierunki, w jakich podąża kolekcja CSW i wartości, jakie próbuje wnieść do sztuki współczesnej. (ak)

do 2 lutego

Królewski język Kochanowskiego

Jak dzisiaj grać „Odprawę posłów greckich”? Na to pytanie reżyser i autor scenariusza Ryszard Peryt odpowiedział spektaklem bliskim rapsodowi i operze kameralnej z pianistycznym, autorskim akompaniamentem na żywo Włodka Pawlika.

Kluczową postacią jest tu Antenor, będący także Szekspirowskim Prosperem, świadkiem historii i chórem jednocześnie. To on organizuje intrygę, popycha bohaterów do działania, a czasem nawet bawi się ich kłopotami. Bogusław Kierc gra Antenora w sposób bliski jego doświadczeniu wokalnemu, wywodzącemu się jeszcze z teatru instrumentalnego Bogusława Schaeffera MW2 (sprzed pół wieku!). Kończy spektakl piękną pieśnią „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary”.

Marta Kurzak jako Helena w „Odprawie posłów greckich”

Fot. K. Bieliński

W przedstawieniu pokazanym na scenie Kameralnej Teatru Polskiego zachwycająco brzmi królewski język Kochanowskiego. Żadnych ułatwień się tu nie stosuje – poza najważniejszym: aktorzy, nawet najmłodszej generacji, mówią tym językiem wyśmienicie, jakby to właśnie w nim wzrastali; leży im w artykulacji idealnie, a nam wszystkim dźwięczy cudowną muzyką. (tm)

od 23 listopada 2013 r.

Literacka nagroda Warszawy

Do końca stycznia każdy może zgłosić kandydatów do tegorocznej Nagrody Literackiej m.st. Warszawy – fundowanej przez warszawski samorząd. W konkursie, organizowanym już po raz siódmy, brane są pod uwagę książki żyjących autorów, napisane w języku polskim i wydane w 2013 r. Nagroda przyznawana jest w czterech kategoriach: „Warszawski twórca” (za całokształt twórczości), „Literatura piękna”, „Edycja warszawska” oraz „Literatura dla dzieci i młodzieży”. W ostatniej z wymienionych kategorii nagradzani są zarówno autor tekstu, jak i ilustrator. Łączna wysokość nagród wynosi 200 tys. zł. Zgłoszenia należy wysyłać na adres Biura Kultury Urzędu m.st. Warszawy lub mailem (ahagmajer@um.warszawa.pl). Nominowanych poznamy w marcu, zaś ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się w kwietniu. (ak)

REKLAMA

FILHARMONIA NARODOWA w smartfonie

Bezpłatna aplikacja

FN

Available on the App Store

Google play

twórca aplikacji ExpectAR sp. z o.o.

filharmonia.pl

„Koniec Titanica" w reżyserii Pietra Floridii - spektakl z obsadą międzynarodową, pokazywany w Studiu Teatralnym KOŁO, 2013 r.

Strefa WolnoSłowa

Anna Mikołajczyk

Pochodzą z krajów oddalonych od siebie o tysiące kilometrów, różne są ich tradycje, kultura i powody, które przywiodły ich do Polski. Ale, choć tyle ich dzieli, napotykają te same trudności. To z myślą o nich powstała w Warszawie Strefa WolnoSłowa

Anastazja z Ukrainy przyjechała do Polski na studia. – Stąd jest bliżej do Europy, można mieć lepsze perspektywy – mówi. Hayk, pracownik telewizji z Armenii, znalazł w naszym kraju miłość życia, więc przeprowadzka była nieunikniona. Niedawno dostał polskie obywatelstwo. Kubańczyk Oscar także zamieszkał w Warszawie ze swoją żoną. Dostał pracę w międzynarodowej firmie tworzącej programy komputerowe. Olivier, nauczyciel francuskiego z Belgii, zaraz po studiach wybrał Polskę. Pomyślał, że życie tu może być ciekawe. Często jednak opowiada, jak jego decyzja zaskoczyła całą rodzinę. „Przecież tam nic nie ma i wciąż trwa tam komunizm" – przestrzegała go zdenerwowana babcia.

Imigranci, czasami także uchodźcy, którzy nie mogą wrócić do siebie, podkreślają, że w naszym kraju, z dala od rodziny i ojczyzny, czują się samotnie i obco. Trudno im znaleźć wspólny język z polskimi sąsiadami. Ich problemy stara się rozwiązać powstała w Warszawie Strefa WolnoSłowa – centrum spotkań i forum inicjatyw twórczych, łączące Polaków i mieszkających w Warszawie imigrantów. Założycielka Strefy, Alicja Borkowska, teatrolożka i animatorka kultury, z podobną organizacją zetknęła się podczas studenckiego stypendium w Bolonii. Po powrocie do Polski stworzyła z przyjaciółmi fundację i dostosowała włoski pomysł do naszych warunków.

Pierwszym projektem Strefy był teatr Azyl Warszawa. – Teatr może dobrze funkcjonować w dialogu wielokulturowym. Ludzie mają wspólny cel artystyczny i jak im to dobrze wychodzi, to jest gwarancja, że będą się z sobą dobrze czuć – mówi Alicja Borkowska. Spektakl „Tu jest lepiej. Przyjeżdżajcie!" miał premierę w maju 2012 r. Od tego czasu międzynarodowy zespół przygotował już sześć przedstawień. Do udziału w teatralnych warsztatach za każdym razem zaprasza nowych uczestników. Wszyscy zgodnie podkreślają, że nie chcą tworzyć zamkniętej grupy. Teatr jest jedynie możliwością twórczego, wielokulturowego spotkania. Dlatego też część spektakli grają dla przechodniów, na ulicach i w parkach.

W swoich teatralnych produkcjach wykorzystują fragmenty tekstów literackich, m.in. „Ameryki" Franza Kafki, poematu „Koniec Titanica" Hansa

Zdjęcia: Ł. Kupka

Magnusa Enzensbergera czy „Niewidzialnych miast" Itala Calvina. Wszystkie twórczo przerabia dramaturg Strefy WolnoSłowej Tomasz Gromadka.

„Strefowe" spektakle wzbogacane są o prawdziwe historie imigrantów opowiadających o tradycjach, z których się wywodzą, i pierwszych spotkaniach z polską rzeczywistością. – Każdy dodaje coś od siebie, ze swojej codzienności – podkreśla Jurij z ukraińskiej Odessy. – W ten sposób widzowie mogą z nami dzielić doświadczenia – dodaje Hayk z Azerbejdżanu. Szczególnie ciekawym projektem teatralnym był spektakl „Przywiozę tu swoje podwórko", grany na warszawskim Bródnie. Poprzedził go wielokulturowy warsztat, którego uczestnicy – artyści Strefy WolnoSłowej – zaprosili do dyskusji i wspólnej pracy teatralnej mieszkańców tej dzielnicy Warszawy. Z improwizacji słownych i ruchowych powstało niezwykłe widowisko łączące fikcję i prawdziwe historie. Tematem były wspomnienia i poszukiwanie własnego miejsca w świecie. – Czasami ludzie myślą, że dlatego iż jesteśmy z różnych krajów i kultur, ciężko nam razem pracować, prowadzić dialog – mówi Adel z Chin – ale przecież na początku my nie rozmawiamy o tych różnicach, po prostu gramy, wyrażamy siebie.

W kwietniu 2013 r. Strefa WolnoSłowa zorganizowała swój największy projekt – „Teatr migrujący". Alicja Borkowska zaprosiła do Warszawy, na wielokulturowe warsztaty, teatralne grupy imigrantów z Włoch, Francji i Szwecji. Podczas tygodniowej pracy artyści wspólnie przygotowali niezwykły spektakl „Koniec Europy". Przedstawienie, które wyreżyserował Pietro Floridia, twórca Teatro dell'Argine z Bolonii, było mocnym głosem na temat politycznej sytuacji dzisiejszej Europy i światowego kryzysu, na nowo definiującego strukturę społeczeństwa.

Uczestnicy warsztatów „Teatru migrującego" już planują nowe wspólne przedsięwzięcia. Na początku września zeszłego roku rozpoczęły się przygotowania do społeczno-kulturalnego projektu „The City Ghettos of Today" (Miejskie getta dzisiaj). Prowadzone są równocześnie w Warszawie, Helsinkach, Bolonii i Paryżu. Podczas warsztatów badawczych, zorganizowanych razem z instytucjami naukowymi i kulturalnymi, odbywają się rozmowy, które posłużą do stworzenia oryginalnych materiałów literackich i dźwiękowych. Twórcy i badacze chcą przedstawić miasto widziane oczami cudzoziemców. Na koniec w każdym mieście powstanie osobny projekt artystyczny. Wielki finał zapowiadany jest na grudzień 2014 r. w Warszawie.

REKLAMA

My, rowerzyści z Warszawy

Widok rowerzysty w zimowy poranek poraża mnie nie mniej niż minus dziesięć stopni na termometrze. Za tym niezwykłym obrazem kryje się jednak coś absolutnie wyjątkowego – pasja. I to właśnie ona stanowi główny temat książki Magdaleny Stopy i Federica Caponiego „My, rowerzyści z Warszawy".

W reportażu polsko-włoskiego duetu historia miesza się z teraźniejszością, ukazując rower jako *wynalazek, który zmienia człowieka, aktywizuje go życiowo, jest narzędziem przemian społecznych. W dziewiętnastym wieku przyczynił się do emancypacji kobiet, dziś wpływa na poprawę życia w wielkich miastach*. Sposób narracji sprawia, że ciągłość procesu „przemian społecznych" jest tutaj znakomicie widoczna. To, co dzieje się w środowisku rowerzystów dzisiaj, jasno wynika, czy może raczej wyjeżdża, z tego, co za nami. Wrażenie to wzmacnia jeszcze dobór fotografii. Zarówno te historyczne, jak i te współczesne, autorstwa Caponiego, są czarno-białe. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to błąd. Przy bliższym zapoznaniu się z książką decyzja autorów staje się w pełni zrozumiała. Tutaj kolor nie jest potrzebny, aby wnieść życie do opowieści.

Wystarczająco barwni są sami bohaterowie, *oryginalne postaci, ludzie pełni niekonwencjonalnych pomysłów, przecierający nowe szlaki, zaskakująco optymistyczni*. Tak jak chociażby Marek Utkin, prawnuk Ludwika Święcickiego, który w 1887 r. współfinansował budowę welodromu przy ulicy Karowej. Sam Utkin *znacząco zapisał się w środowisku rowerowym i to nie tylko warszawskim*. Projektował rowery, konstruowane później samodzielnie przez ludzi w całej Polsce. Jego pomysły znalazły uznanie w oczach firm z Tajwanu i Wielkiej Brytanii. W końcu to on od 1987 do 1996 r. organizował przejazdy rowerowe przez Warszawę w ramach Dnia bez Samochodu.

Takich postaci jak Marek Utkin w tej książce jest sporo. Różnią się wiekiem, wykształceniem, wykonywanymi zawodami – łączy ich zaś wspólna pasja. I chociażby po to, by tę pasję zrozumieć, warto sięgnąć po książkę. (sp)

Magdalena Stopa, Federico Caponi „My, rowerzyści z Warszawy", Stopa Studio 2013

Nazwy ziemi warszawskiej w średniowieczu

Dla historyka Warszawy, ale też dla każdego miłośnika dziejów naszego miasta i jego okolic prawdziwym skarbem edytorskim jest „Słownik historyczno-geograficzny ziemi warszawskiej w średniowieczu". Księga ta obejmuje wszystkie nazwy geograficzne, które dało się (we wszelkich możliwych wersjach zapisu) zidentyfikować i umiejscowić na podstawie źródeł historycznych – od tych najwcześniejszych po drugą połowę XVI wieku. Słownik nie ogranicza się wszakże do samych nazw, ale cytuje także kontekst, w jakim zostały użyte. Wprawdzie nie znajdziemy w nim zapisów dotyczących Starej i Nowej Warszawy, ale już informacji odnośnie dawnych wsi, dziś znajdujących się w granicach stolicy – bez liku! Dowiadujemy się więc np., że nazwę Imielin (dziś część Ursynowa) pisano w 1422 r. jako Gemelino, w 1430 r. – Jamyelino, w 1437 r. – Gemyelino, w 1526 r. – Jemyelynko, a w 1580 r. – Jemielinek. W innym miejscu czytamy, iż w 1347 r. wieś Grochowo (dzisiejszy Grochów) wraz z Kamionem, Gocławiem i Targowem dały tylko jedną krowę rocznej daniny dla książęcego miasta Warszawy, natomiast zapis z 1493 r. informuje, że uczciwa Katarzyna z Grochowa pozwała uczciwego Macieja Jachowica z Grochowa za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Okazuje się, że wszelkiego rodzaju spory i zajścia, obok umów i nadań, były najczęstszym powodem wymieniana nazw miejscowości w średniowiecznych dokumentach. Treść wielu zapisów (nierzadko nader anegdotycznych!) to prawdziwa uczta duchowa i to nie tylko dla specjalistów.

Trudno w to uwierzyć, ale sporządzanie kartotek, które stworzyły bazę dla wydanego właśnie słownika, rozpoczęto w 1951 r.! Kilkakrotnie zmieniano koncepcję, okres i zakres badań; zmieniał się też skład zespołu naukowców. Niektórzy z nich po prostu zmarli, jak w 1984 r. Adam Wolff, kierujący kwerendą dla obszaru Mazowsza. Około 1966 r. uznał on, iż licząca prawie 150 tys. fiszek kartoteka daje podstawę do rozpoczęcia prac przy tworzeniu pierwszych haseł dla 15 historycznych ziem Mazowsza. Zeszyt słownika obejmującego ziemię wyszogrodzką ukazał się drukiem w 1971 r., a w latach 1980-2000 opublikowano cztery zeszyty słownika ziemi płockiej. W roku 2013 otrzymujemy do rąk kompendium wiedzy topomastycznej dla obszaru ograniczonego rejonem Błonia i Zaborowa na zachodzie, Nowego Dworu i Radzymina na północy, Stanisławowa i Wiśniewa na wschodzie oraz okolicami Tarczyna na południu. Odpowiada to zasięgowi XVI-wiecznych powiatów: warszawskiego, błońskiego i tarczyńskiego w ziemi warszawskiej. (jz)

„Słownik historyczno-geograficzny ziemi warszawskiej w średniowieczu", oprac. Adam Wolff i Kazimierz Pacuski, Instytut Historii PAN, 2013

Praga gada o wojnie

Każde miasto i każda jego dzielnica mają swoje lokalne legendy traktowane przez mieszkańców jak najświętsza prawda. Ocalała z wojennej zagłady Praga szczyci się wieloma takimi opowieściami, z których część jest jak najbardziej osadzona w prawdziwych wydarzeniach, o czym dowodnie świadczą relacje najstarszych mieszkańców dzielnicy, tropione i utrwalone przez pomysłodawcę albumu Przemysława J. Olszewskiego w ramach działań Fundacji Animacja. Niezwykłość wydawnictwa polega na przetworzeniu fragmentów zapisów w historie obrazkowe, przy czym każdy rozdział komiksu został wykreowany przez innego autora, a więc w zupełnie odrębnej stylistyce rysunku!

Praski folklor i obyczaje w sosie komiksowej fantasmagorii – tego jeszcze nie było! Kominiarczyk upiór, który niczym „Zły" Tyrmanda chroni mieszkańców przed zbirami (w niemieckich mundurach) w cieniu kościelnych wież św. Michała Archanioła i św. Floriana, w scenerii jak z „Dzwonnika z Notre Dame". Mały praski cwaniak na trójkołowym rowerku, z drewnianym karabinem, który w przerażających okolicznościach uświadamia sobie, iż strzelanina to nie zabawa. Praska jejmościna pyskująca podczas łapanki żandarmowi w tramwaju – niezdająca sobie sprawy, iż siedzi na worku przemycanych granatów. Niewiarygodna historia śmigusowej „wojny" na wiadra wody między podwórkowymi wisusami a żołnierzami niemieckiej kolumny pancernej. Albo opowieść o fordach T przerobionych w warsztatach na Terespolskiej na napędzane pedałami pancerki, które broniły Warszawy przed bolszewikami w 1920 r. Urocza jest opowiastka o pojeniu wodą wściekłych czerwonoarmistów przez niczego nieświadome małżonki praskich przedstawicieli płci brzydkiej, którzy wyżłopali cały przygotowany na tę okazję zapas bimbru. A historia straszliwych skutków umycia popstrzonej przez muchy buźki figury Przenajświętszej Panienki proszkiem „Radion", co sam pierze?! Albo ta o świniach odprowadzających zalanego w trupa dorożkarza i jego konia do domu?!

Album jest po prostu perełką w formie i treści, co doceniło Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, dofinansowując publikację w ramach Rządowego Programu Aktywności Społecznej Osób Starszych. Jeśli powiedzie się akcja pozyskiwania kolejnych funduszy, w drugim tomie Praga zagada już nie o wojnie, ale o pokoju. (jz)

„Praga gada. O wojnie!" pod red. Przemysława J. Olszewskiego, Fundacja Animacja, 2013

REKLAMA

ZACHĘTA

Mapa. Migracje artystyczne a zimna wojna

Zachęta — Narodowa Galeria Sztuki | Wystawa czynna do 9 lutego 2014, od wtorku do niedzieli 12–20

patroni medialni

POLSKIE RADIO gazeta Le Monde VOICE STOLICA artinfo.pl

www.zacheta.art.pl

PRETEKSTY DO WSPOMNIEŃ

Krystyna Kolińska

Niespodziewana nagroda

Jesień 1992. Zatelefonowała do mnie Basia Seidler, przewodnicząca sekcji Autorów Prac Publicystycznych w ZAiKS-ie, że ostatnio przeczytała mój reportaż „Nieznana teczka SIPO" i chce przedstawić go do nagrody im. Karola Małcużyńskiego w dziedzinie varsavianów. Zaskoczyła mnie ta wiadomość, bowiem od tej publikacji minęły 23 lata.

Wkrótce Irena Małcużyńska wręczała nagrodę za rok 1991 „Za całokształt twórczości związanej z Warszawą". Wyjątkowo została przyznana dwóm osobom – Krzysztofowi Kunertowi i mnie.

Dokumenty, o których pisałam w reportażu „Nieznana teczka SIPO", po wojnie znalazły się w rękach bibliofila Marka Wieczorka. Kiedyś będąc w Częstochowie, podczas naszej rozmowy o książkowych varsavianach, wyciągnął on niespodziewanie tekę w zielonkawej oprawie z brystolu. Wewnątrz był plik kartek w blaszanych uchwytach. Ową tekę dał mu, tuż po wojnie, jakiś człowiek grzebiący w śmietnikach. Nadpalony skoroszyt nie miał dla niego wartości i pozbywając się go, z wdzięcznością przyjął zapłatę. Niezwykłe znalezisko, szczęśliwym trafem znajdujące się teraz we właściwych rękach, zelektryzowało pana Wieczorka. Był to zbiór meldunków. Niemcy, likwidując w popłochu akta, nie zdążyli spopielić wszystkich kartek; na tych, które ocalały, były naklejone paski dalekopisów. Pierwszy z datą *4 August 1944* zaczynał się od słów *Funknachricht von Sonderkommando Spilker. Warschau*, ostatni miał datę *24 October 1944*. Oprócz nich było kilka kartek odręcznych notatek napisanych gotykiem, z przybitą pieczęcią *Geheim* (tajne).

Marek Wieczorek zgodził się wypożyczyć mi te materiały dla zrobienia kopii. W Warszawie udałam się do znanego mi płk. Stanisława Komornickiego, który przed 25 laty jako żołnierz AK o pseudonimie „Nałęcz" brał udział w powstaniu. [zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem w 2010 r.]. Rozpoczęła się ogromna robota z pomocą tłumacza, fachowca od spraw wojskowości i moje ze Stanisławem Komornickim rozmowy – liczne pytania zadawane przeze mnie i jego komentarze. W tece znalazły się też telegraficzne blankiety z nadrukiem *Kommandeure der Sicherheitspolizei und des SD* (komendant Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, czyli w skrócie – SIPO). W skład SIPO wchodziły gestapo i niemiecka policja kryminalna (*Kriminalpolizei*, tzw. KRIPO) działająca na obszarach okupowanych. Materiały pozwalały poznać szczegóły rozstrzeliwań i palenia, także żywcem, mieszkańców Woli. Pułkownik Komornicki, zapoznawszy się z całą zawartością teki, stwierdził, że zawiera meldunki nieznane płk. Adamowi Borkiewiczowi, który jako pierwszy historyk podjął się w książce „Powstanie warszawskie. Zarys działań natury wojskowej" całościowego opisu przebiegu powstania. Okazało się, że liczba spalonych i rozstrzelanych przy kościele na Woli była o wiele większa, niż obliczył płk. Borkiewicz, opierając się na dostępnych mu „lageberichtach" (raportach).

Ostatni niemiecki meldunek z 5 października dotyczył wyjścia AK z konspiracji: *Rozgłośnia „Świt" podała 26.9.44, o godz. 9, co następuje: 20 września generał Bór ogłosił rozkaz dzienny, według którego jednostki AK Warszawy zostają przekształcone w regularną polską armię. Warszawski Korpus składa się z trzech dywizji; 28 DP Traugutta walczy na Żoliborzu, 9 DP Okrzei walczy w Śródmieściu, 10 DP Macieja Rataja walczy na Mokotowie. Jednocześnie podano nazwiska wyższych dowódców AK. Najwyższe dowództwo sprawuje generał Bór, którego prawdziwe nazwisko brzmi Tadeusz Komorowski.*

Do tego meldunku dołączono protokoły z przesłuchań 29 akowców znajdujących się w przejściowym obozie w Ożarowie. Warto przytoczyć pierwsze – z dziesięciu – pytanie Niemców: *Dlaczego podjęto powstanie?* Usłyszeli odpowiedź: *Aby walczyć o wolność i pokazać światu, że Polacy zdolni są podjąć każdy czyn dla swego kraju. Poza tym na skutek masowych aresztowań i straceń do najwyższych rozmiarów wzrosło napięcie wśród ludności polskiej, zwłaszcza w Warszawie. (...) Byliśmy zdecydowani walczyć do ostatka. Kapitulacja obowiązuje tylko oddziały AK walczące w Warszawie. Walka pozostałych jednostek Armii Krajowej przeciw Niemcom trwa dalej...*

PS Obecnie teczka SIPO znajduje się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Częstochowa 1941 r. Druga od lewej autorka, za nią Aleksandra Hall

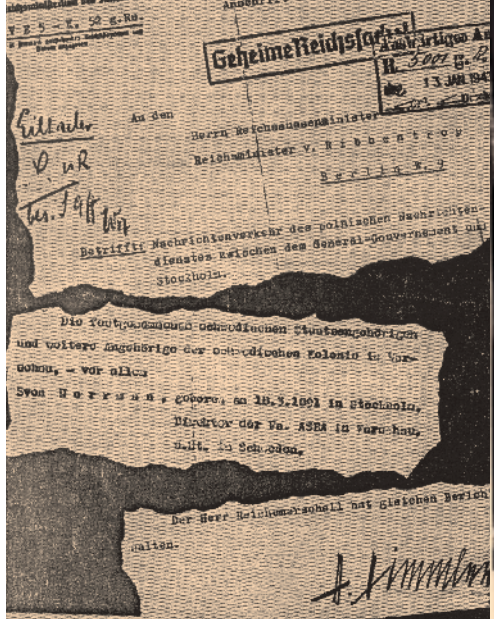
Geheime Reichssache

Nadpalone niemieckie dokumenty z okresu II wojny znalezione w latach 60. na śmietniku

Pułkownik Stanisław Komornicki, 1968 r. – zdjęcie autorstwa Krystyny Kolińskiej

Zdjęcia: Archiwum K. Kolińskiej

List od przyjaciółki

Maj 2013. Przychodzi list od Oli Hall: *Podobno u Was piękna wiosna. Zawsze o tej porze tęskno mi za Polską. Przed kilku laty przyjechałam do Warszawy z córką i wnukami; dla nich Polska jest już tylko krajem przodków, do którego nie sprowadza tęsknota. Ile to już przepłynęło jesieni, wiosen, gdy opuściłam kraj. Żył jeszcze wtedy mój ojciec...*

Ojciec Oli był absolwentem medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego. To on zapoczątkował rodzinną tradycję nadawania synom imienia Aleksander. Jego córka Aleksandra dała tak na imię swojemu synowi, jej brat Janek, lekarz mieszkający na Wybrzeżu, też obdarzył tym imieniem syna, przyszłego ministra w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, autora m.in. książki „Spór o Polskę".

W 1943 r. Oleńka wyjechała z Częstochowy do Warszawy. Po powstaniu została wywieziona do obozu w Niemczech. Po wyzwoleniu przez Amerykanów zdecydowała się nie wracać do kraju i znalazła się w Anglii, gdzie ukończyła studia i wyszła za mąż za Polaka – Sas-Kropiwnickiego, który pracował jako weterynarz w Afryce Południowej.

W liście Oleńka prosiła mnie: ***Napisz mi, co działo się w Częstochowie, kiedy jesienią 1944 przejeżdżały pociągi wiozące powstańców.*** Odpisuję więc, przedstawiając żywe wciąż w mej pamięci obrazy: „Mieszkałam przy ulicy Dąbrowskiego, niedaleko koszar, gdzie Niemcy stworzyli obóz, wywożąc stamtąd na wozach nieprzykryte stosy ciał radzieckich jeńców, by gdzieś daleko w polu wrzucić je do dołów i zalać wapnem.

Ulica Chłopickiego dochodziła prostopadle do wałów Dwernickiego, gdzie dołem od wiaduktu biegła linia kolejowa prowadząca do pobliskiego dworca. Gdy przyszła wiadomość, że nadjeżdżają pociągi od strony Warszawy, pobiegłam tam z koleżankami, dźwigając paczki z jedzeniem, butelki z wodą... Pociąg od strony Rudnik jechał powoli. Zamknięty na żelazne sztaby, miał u góry uchylone okienka. Wspinając się na wysoki nasyp, rzucałyśmy w ich kierunku przyniesione produkty. W okienkach widać było młode twarze powstańców, dziewczyn i chłopców.

Wielu mieszkańców Warszawy znalazło gościnę u częstochowskich krewnych. Moja cioteczna siostra Irena G. odwiedziła nas z synkiem Jędrusiem – niemowlęciem. Wyglądał jak mały szkielecik. W powstańczych dniach nie można było zdobyć dla niego pożywienia.

Chorzy niemogący się poruszać o własnych siłach byli transportowani do miasta, gdzie leżeli na drewnianych pryczach w barakach. Postawione na trawiastym placu stały się schronieniem dla starych, niedołężnych kobiet i mężczyzn. Niedaleko, w pobliżu ulicy Czarnieckiego, widniały budynki szpitala dla zakaźnie chorych, gdzie urządzono odwszalnię. Samorzutnie zgłosiliśmy się do pomocy. Trzeba było przenieść tam ludzi z baraków, oddać ich ubrania do dezynfekcji, ściąć rojące się od robactwa włosy, zanieść do pomieszczenia pełnego pary o podłodze z desek. Gdzieś z góry płynęły bez przerwy strumienie gorącej wody na pogryzione przez wszy ciała. To był dla nich ból nie do zniesienia. Kobieta, którą myłam, głośno krzyczała, wymyślając mi od hitlerówek... Potem, gdy wcierałam maść, gdy wkładałam na nią zdezynfekowane karbolem ubranie, uspokoiła się. W baraku ktoś powiedział, że to matka Lardellego.

Zaatakował mnie świerzb. Okropne swędzenie... Poradzono mi wcierać w skórę dziegć i nie zmieniać koszuli przez dwa tygodnie. Pomogło!

Minęło kilka tygodni. Zbliżało się Boże Narodzenie 1944 r. ... Spotykam dwie koleżanki – Jadzię Rumszewicz i Olę Jeske. Wpada nam do głowy pomysł pójścia z podarkami do wciąż przebywających w barakach ludzi z Warszawy. Rozdzielamy role. Ja mam wystąpić jako św. Mikołaj, one jako jasnowłose anioły.

Od zachodniej strony pola, na którym wzniesione są baraki, widać jasnogórski klasztor. W barakach jest ciepło. Żar węgla rozgrzewa do czerwoności drzwiczki żelaznych piecyków. Stoliki nakryte białymi serwetkami. Mieszkanki, odświętnie ubrane, siedzą na wygodnych zydelkach, koło swoich łóżek z czystą pościelą. Przychodzi ksiądz z opłatkami, siostry szarytki z drożdżowym ciastem. A św. Mikołaj w wysokiej czapie z baranka, z brodą i wąsami z białej waty, dźwiga patefon na korbkę. Płynie kolęda „Bóg się rodzi". Wyjmujemy z koszy paczki z zatkniętą na wierzchu gałązką choinki.

Pamiętam, że czułam się wtedy dość głupio jako Mikołaj wygłaszający do tych kobiet w wieku naszych babek gadkę jak do dzieci. Ogólne wzruszenie rozproszyło obawy".

Fragmenty książki Krystyny Kolińskiej „Preteksty do wspomnień", która wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa Iskry; śródtytuły pochodzą od redakcji

Warszawa w kwiatach

W grudniu minionego roku odbyło się zakończenie jubileuszowej, 30. edycji konkursu „Warszawa w kwiatach", zainicjowanego jeszcze w okresie międzywojennym przez prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, który pragnął zachęcić mieszkańców do upiększania swego miasta. Warszawiacy tłumnie zgłaszali się do udziału w konkursie, wśród nagrodzonych w 1938 r. znalazła się m.in. aktorka Mira Zimińska, późniejsza współzałożycielka Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze". W 1971 r. pomysł „Warszawy w kwiatach" wskrzesiła Zofia Wóycicka, prezes Oddziału Powiśle Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, zachęcając mieszkańców tej dzielnicy do jej ukwiecania. Do akcji włączały się z czasem kolejne dzielnice i w 1984 r. odbyła się pierwsza powojenna ogólnowarszawska edycja konkursu.

Dom przy Foksal 21 wyróżniony tytułem Mister Warszawy

6 grudnia 2013 r., podczas uroczystej gali w Teatrze Kamienica, nagrody za najpiękniejsze ogrody i balkony wręczyła prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Wśród licznych nagrodzonych znaleźli się m.in. Elżbieta Jaworska-Gorczyca (Nagroda Prezydenta) oraz Teresa i Józef Dudziakowie (Nagroda Specjalna Warszawska). Przyznawany od 2004 r. tytuł Mister Kwiatów dla najpiękniej ukwieconego budynku zdobył dom przy ulicy Foksal 21. Wszystkim biorącym udział w konkursie gratulujemy zapału i życzymy dalszych sukcesów w upiększaniu stolicy.

Z okazji jubileuszu Towarzystwo Przyjaciół Warszawy wydało książkę „Warszawa w kwiatach. Społecznicy na rzecz miasta" autorstwa Wacławy M. Borkowskiej, przez wiele lat biorącej udział w organizacji kolejnych konkursów. Autorka sięgnęła do początków akcji, opisując m.in. działalność dawnych towarzystw i kół ogrodniczych, organizację pierwszych edycji „Warszawy w kwiatach", a także powolne odradzanie się tej idei w odmienionej, powojennej stolicy oraz historię Towarzystwa Przyjaciół Warszawy. Książka jest bogato ilustrowana archiwalnymi zdjęciami oraz przedrukami starych artykułów prasowych. (ak)

Towarzystwo Przyjaciół Warszawy

zaprasza:

- **30 stycznia**, godz. 18 – Bal z Chopinem w Honoratce. O tradycjach karnawałowych w Warszawie XIX wieku, Salon przewodnicki; miejsce spotkania restauracja Honoratka, sala Rokita, wejście od ulicy Kapitulnej
- **30 stycznia**, godz. 19.30 – Powrót Fryderyka z balu w Honoratce..., spacer z przewodnikiem; zbiórka: ulica Kapitulna, przed wejściem do restauracji Honoratka
- **16 lutego**, godz. 11 – Dwie Warszawy Juliana Tuwima, spacer z przewodnikiem; zbiórka: ulica Wiejska, przed Czytelnikiem
- **27lutego**, godz. 18 – Suto hałaśliwy i taneczny karnawał w XVII i XVIII wieku, Salon przewodnicki; zbiórka: restauracja Honoratka, sala Rokita, wejście od ulicy Kapitulnej.

Tajemnice Białołęki

18 grudnia 2013 r. w Białołęckim Ośrodku Kultury odbyło się uroczyste podsumowanie konkursu „W poszukiwaniu tajemnic dawnej Białołęki", połączone z promocją książki „Tajemnice Białołęki" opracowaną przez Mariolę Rabczon, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Warszawy Oddział Białołęka. Książka, stanowiąca również główną nagrodę w konkursie, jest zbiorem opowiadań autorstwa laureatów konkursu – Jadwigi Pawluczuk, Zbigniewa Prokopa, Edwarda Figauzera, Jana Wiesława Bukowskiego i Krystyny Dyszkowskiej.

Dzisiejsza dzielnica Białołęka stanowiła niegdyś grupę wsi, które w granicach Warszawy znalazły się dopiero w 1951 r., przekształcając się z czasem w osiedla. Współcześnie to jeden z najszybciej rozwijających się fragmentów Warszawy, postrzegany, jak niegdyś Ursynów, jako „sypialnia" Warszawy. Wielu obecnych mieszkańców dzielnicy nie było wcześniej związanych z tym miejscem. Do nich m.in. kierowana jest ta publikacja.

Autorzy opowiadań wspominają dawną Białołękę, cofając się często do czasów przed II wojną światową. Opisują swoje dzieciństwo, przeżycia wojenne i późniejsze życie w PRL. Książkę kończy artykuł przedstawiający w skrócie historię tego obszaru od czasów średniowiecznych. W publikacji znalazły się również unikalne fotografie, wyszperane w archiwach i zbiorach prywatnych. Książka spodoba się na pewno nie tylko mieszkańcom Białołęki, ale również wszystkim zainteresowanym historią Warszawy. Szkoda tylko, że choć niewątpliwie bardzo ciekawa, jest też dość niestarannie od strony redakcyjnej wydana. Rozumiemy chęć zachowania autentyzmu publikowanych wspomnień, należałoby jednak poprawić występujące w nich błędy gramatyczne i interpunkcyjne. (ak)

Saska Kępa pod ochroną?

„Mekka modernizmu", „poligon awangardy", „perełka prawego brzegu" – to tylko nieliczne z określeń, jakimi opisuje się Saską Kępę. Nie bez przyczyny; willowa lub szeregowa zabudowa powstała w okresie międzywojnia jest faktycznie najwyższej próby, co współczesnym inwestorom nie przeszkadza „poprawiać" jej zgodnie z własnym, zwykle siermiężnym, gustem. Ta sytuacja jednak może się zmienić już wkrótce. Dzięki modelowej współpracy lokalnej społeczności skupionej w stowarzyszeniu ŁADna Kępa oraz członków Towarzystwa Opieki nad Zabytkami do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wpłynął wniosek o wpis do rejestru zabytków historycznej zabudowy dzielnicy. Obecny – nieprecyzyjny – zapis stwarza możliwości różnych interpretacji i w większości wypadków chroni jedynie jej układ urbanistyczny, co nie stanowi wystarczającego zabezpieczenia przed zakusami nastawionych jedynie na zysk inwestorów. Tylko w ostatnich latach zniknęło kilka wartościowych budynków, a inne obrosły systemem dobudówek czy warstwami izolacji zmieniającymi proporcje brył (m.in. docieplony zabytkowy budynek przy ulicy Katowickiej 7A czy nadbudowany dom Lachertów przy Francuskiej 12 – oba projektu Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcy).

Nie jest to jedyny wniosek, jaki trafił do Wojewódzkiego Konserwatora – TOnZ i ŁADna Kępa zwróciły się też o indywidualny wpis 56 szczególnie cennych obiektów (autorstwa takich tuzów architektury, jak Czesław Przybylski, Lucjan Korngold, Bohdan Lachert, Józef Szanajca, Maksymilian Goldberg czy małżeństwo Syrkusów) oraz 11 zespołów budowlanych. Pod tym ostatnim określeniem kryją się m.in. bliźniaki czy budynki jednego projektanta podzielone na odrębne własności i adresy, jak perła modernizmu Lacherta i Szanajcy przy Katowickiej 9/11/11A. Brak ich kompleksowej ochrony prowadzi nierzadko do iście kuriozalnych sytuacji. – To oczywiste, że takie obiekty powinny otrzymywać identyczne wytyczne co do remontów, termoizolacji, kolorystyki tynków, a ich właściciele dofinansowanie na wspólnie przeprowadzane remonty – mówi Katarzyna Sobczak, która z ramienia warszawskiego TOnZ-u czuwała nad wnioskiem. A Ewa Brykowska-Liniecka z ŁADnej Kępy dodaje, że część nieuwzględnionego przez służby konserwatorskie przedwojennego dziedzictwa była zaskakująca nawet dla samych mieszkańców, którzy coraz lepiej orientują się, jak dużą wartość prezentuje ta architektura. W rejestrze zabrakło np. podręcznikowej willi rodziny

Modernistyczna willa przy ulicy Obrońców 10

Łepkowskich z lat 1934-1935, zaprojektowanej przez Korngolda i Piotra Lubińskiego przy Francuskiej 2, czy domu braci Ordyńskich autorstwa Lacherta i Szanajcy przy Berezyńskiej 28.

Wnioskowano również o ujęcie w Gminnej Ewidencji Zabytków 71 indywidualnych obiektów i 22 zespołów budowlanych. We wniosku znalazły się także cenne obiekty powojenne otaczające willową enklawę: ośrodek sportowy z lat 40. przy Wale Miedzeszyńskim 397 projektu Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka oraz zespół budynków przy rondzie Waszyngtona. Pracownicy Biura Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków zapowiedzieli, że rozpatrywanie wniosku może zająć nawet rok.

Hanna Dzielińska
wiceprezes warszawskiego oddziału
Towarzystwa Opieki nad Zabytkami

Tu było, tu stało

Dostępna jest już druga edycja mapy „Tu było, tu stało. Znikająca architektura Warszawy po 1989 r.". Zaznaczono na niej 20 kolejnych obiektów cennych ze względu na swą wartość historyczną, artystyczną bądź kulturową, które zniknęły z mapy Warszawy w ciągu ostatnich 24 lat, zburzone lub całkowicie przebudowane, między innymi Międzynarodowy Dworzec Lotniczy Warszawa – Okęcie, dawna Fabryka Braci Łopieńskich przy ulicy Hożej czy koszary Grodzieńskiego Pułku Huzarów na terenie Łazienek. Pierwsza część mapy ukazała się w 2011 r. i obejmowała m.in. takie obiekty, jak Supersam, pawilon Chemii i kino Moskwa.

Projekt „Tu było, tu stało", realizowany przez Stowarzyszenie Masław, narodził się w 2010 r. przy okazji festiwalu Warszawa w Budowie 2. Jego twórcy postanowili w ten ciekawy sposób zachować i popularyzować wiedzę o architektonicznym dziedzictwie stolicy, ale też zwrócić uwagę na częste niestety zjawisko zaniedbywania i niszczenia wartościowych obiektów architektonicznych. Jest też mapa zapisem stosunku do tradycji i dziedzictwa w wolnej samorządnej Warszawie, w której to, co stare, przegrywa z nowoczesnością czy raczej z pseudonowoczesnością, bo miasto nie wypracowało modelu koegzystencji tradycji ze współczesnością. Choć, co trzeba podkreślić, nie brak przy tym zrozumienia auto-

Fot. NAC

Dawny terminal na Okęciu

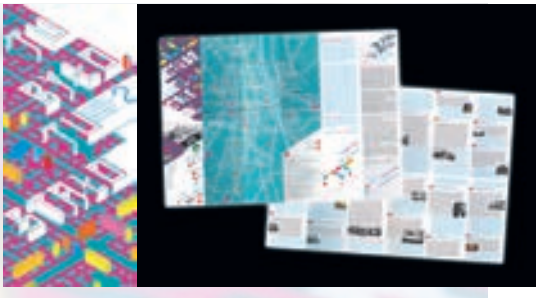

rów projektu dla dynamiki rozwoju miasta i nieuchronności pewnych zmian.

Projekt cały czas się rozwija – na Facebooku na bieżąco pojawiają się wiadomości o kolejnych wyburzeniach. Mapa dostępna jest bezpłatnie w wielu punktach miasta, m.in. w Domu Spotkań z Historią, wybranych muzeach i klubokawiarniach, a także u nas w redakcji. I choć jest to inicjatywa bardzo ważna i cenna, to jednak smuci nas fakt, że wciąż przybywa materiałów na kolejne edycje mapy... (ak)

Kto walczy o miasto?

Nie do końca zgadzam się z Marią Terlecką, która w felietonie „Twarz miasta" (nr 10/2013), napisała, że do *walki o miasto przystąpili nie starzy warszawiacy, ale młodzi, niekoniecznie w Warszawie urodzeni tzw. nowi warszawiacy, „słoiki"*.

Mnie się jednak wydaje, że ci, którzy przyjechali do dużego miasta za „chlebem", nie bardzo mają czas i pieniądze, aby „walczyć" o miasto. Oni przede wszystkim walczą o przetrwanie. Przyjeżdżają z odległych miejscowości i jak uda im się dostać pracę, to ciężko pracują. A jeśli wygospodarują trochę wolnego czasu, to jadą do rodziców po wałówkę albo po prostu śpią. Dopiero jak już zaaklimatyzują się w mieście, kupią mieszkanie, założą rodziny, to mogą coś robić dla Warszawy, ale wtedy przychodzą na świat dzieci i trzeba podwójnie pracować, więc czasu także brak.

Autorka napisała felieton tak, jakby starzy warszawiacy nie mieli dzieci i wnuków. Ponieważ dużo pracuję społecznie, mam kontakt z młodymi ludźmi i proszę mi wierzyć, nasza warszawska młodzież jest wspaniała!

Oni urodzili się i wychowali w Warszawie, znają ją dobrze i mają trochę dystansu do wielu spraw, a przede wszystkim nie chcą miastu szkodzić, bo je kochają.

Wielu starych warszawiaków też nie siedzi w domu. Proszę przyjść kiedyś w weekend na spacer po Warszawie z przewodnikiem – ponad połowa uczestników to właśnie ludzie starsi. Kilka razy byłam świadkiem, jak podczas takiego spaceru przewodniczka wzywała telefonicznie kolegów przewodników do pracy, gdyż trzeba było podzielić ponad 100-osobową grupę zwiedzających na kilka mniejszych. Ja także, mimo moich 60 lat, prowadzę w swoim urzędzie Koło PTTK. Organizujemy mnóstwo wycieczek pieszych i rowerowych. Nasze Koło istnieje ponad 10 lat i wszystko „się kręci", coraz więcej ludzi się zapisuje, moje córki (młode osoby) też pracują społecznie.

Naprawdę mamy wielu działających na rzecz Warszawy rodowitych warszawiaków – młodych i tych po siedemdziesiątce. Są uśmiechnięci, aktywni i nie narzekają. Narzekają raczej ci przyjezdni – że miasto im się nie podoba, że głośno i brudno.

Hanka Bendowska

PRZYPADKI STANISŁAWA OLICY

Rys. Maria Terlecka

Oszpecanie Warszawy

Warszawa ma tylko jeden fragment naprawdę ładny. Jest nim Trakt Królewski. Trochę dalej mamy Wilanów i... koniec. Jako całość Warszawa jest miastem paskudnym. W dodatku na każdym kroku oszpeconym wszelkiego typu reklamami i śmieciami.

Oszpecanie miasta to nie jest już sprawa estetyki, lecz prawa. A prawo mamy kiepskie. Oto przykład. Na Ursynowie, gdzie mieszkam, od 32 lat stoi paskudna buda, która praktycznie się rozpada. Zrobiłem zdjęcie tej maszkarze i z odpowiednim listem wysłałem do ZDM. Powiadomili mnie, że jakiś wydział miejskiego budownictwa uruchomił w tej sprawie postępowanie. Czyli koszmarek będzie stał drugie 30 lat! Takich „obiektów" mamy tu bez liku. Inny przykład. Parking w Powsinie, przy pętli. Kałuże, błoto lub czarny pył latem. W dodatku za parkowanie pobierane są opłaty. Korespondencja z gminą Wilanów, a potem ze Skarbem Państwa pokazuje, że jeszcze długo nie będzie tam prawdziwego parkingu. Ale skoro jest to „dziki" parking, to dlaczego ktoś pobiera opłaty?

Tym, co mnie dodatkowo irytuje, są reklamy i szyldy w języku angielskim. Wiem, że dzisiejsi Polacy mają straszliwe kompleksy, a najłatwiej zniwelować je udawaniem, iż to nie Polska jest tu, nad Wisłą, ale USA! Wszystko, co polskie, jest bowiem OBCIACHOWE. Dobrym przykładem, obok reklam i szyldów, jest palma na rondzie blisko giełdy. A te plazy, tałery itp.? Większość warszawskich imprez też ma nazwy angielskie.To czysty obłęd! Niestety, Państwo również grzeszą, zamieszczając reklamę „Soho Factory – creative district in Warsaw". Gdybyśmy byli tacy *creative*, to wiele rzeczy inaczej by wyglądało.

Obawiam się, że już sporo utraciliśmy z naszej tożsamości kulturowej. Całe szczęście, nasza kultura ma charakter wyspowy. Są jeszcze obszary pełne tego, co polskie.

Krzysztof Nowakowski

W STYCZNIU „STOLICA" PISAŁA

W 1954 r.
Wyjątkowe zjawiska

Jakże często słyszymy narzekania na poziom kultury osobistej w społeczeństwie. A to w tramwaju nikt nie ustąpi miejsca kobiecie w ciąży, a to ktoś komuś specjalnie zajedzie drogę, a to w teatrze podczas spektaklu można usłyszeć dzwoniące telefony... Niestety – nie są to wynalazki XXI wieku. W styczniu 1954 r. „Stolica" opublikowała felieton, w którym jego autor trafnie wynotował wszelkie grzeszki warszawiaków. A zaczęło się od pewnego taksówkarza. *Gdy – wsiadając do taksówki – powiedziałem szoferowi „Dzień dobry", to ten, o silnych przecież nerwach człowiek, doznał lekkiego szoku z wrażenia, przez pięć minut nie mógł słowa przemówić i tylko naciskaniem klaksonu dawał znak, że jeszcze żyje*. Na pytanie „co się panu stało" odparł, że *nic, nic, to takie chwilowe zamroczenie, bo przecież różne rzeczy człowiek widział i słyszał na tym świecie, ale tego jeszcze nie było...* Później w tramwaju, dziękując konduktorce za bilet, autor spowodował jej nagłe omdlenie, samemu narażając się na potępienie ze strony współpasażerów. Innym z kolei razem ze zdziwieniem zaobserwował w teatrze, że ludzie *nie naśladowali tabuna spłoszonych rumaków i nie tratowali się nawzajem, lecz spokojnie i poprawnie opuszczali salę po skończonym spektaklu*. Konkluzja była prosta i szczera – jeśli dziwią nas oznaki grzeczności, *to znaczy, że należą one do wyjątkowych zjawisk*. Strach pytać, czy cokolwiek się zmieniło.

W 1964 r.
P jak (bułgarscy) przyjaciele

O Węgrach pomagających Polakom podczas wojny pisano już niejedno. Pewne wzmianki można też znaleźć o Szwedach. Ale Bułgarzy? Ich właśnie w styczniu 1964 r. postanowiła przypomnieć „Stolica". Krum Tsokoff, Dymitr Ikonomow, Trifon Puchlew i Bojan Abadijeff przed 1939 r. pracowali i studiowali w Warszawie. Po wybuchu wojny nie wrócili do swojego kraju, sojusznika hitlerowskich Niemiec, ale bardzo szybko rozpoczęli działalność podziemną. *Gdy w grudniu 1939 roku hitlerowcy aresztowali w Krakowie czołowych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i wysłali ich do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, profesor T. Kotarbiński zwrócił się do Ikonomowa, z którym znał się sprzed wojny, aby interweniował* – tak wyglądał początek pracy działającej w Warszawie bułgarskiej Grupy „B". Wśród innych jej zasług wystarczy wymienić dokumentowanie zbrodni niemieckich czy przewożenie korespondencji podziemia. Tsokoff i Ikonomow zostali w końcu aresztowani przez gestapo. Pierwszego skazano na pięć lat więzienia, drugiego na dziewięć miesięcy, ale i tak *po zwolnieniu z więzienia nadal udzielał pomocy Polakom*. Ścigani przez Niemców, więzieni, związani z krajem nad Wisłą także po wojnie. Bułgarscy przyjaciele.

W 1974 r.
Idzie nowe

Styczeń 1974 r. w „Stolicy" minął pod znakiem nowości. Najpierw w cocktailbarze kawiarni Nowy Świat został otwarty *piąty z kolei klub gier automatycznych w Warszawie*. Niedługo później w hotelu Forum pojawił się *nowoczesny salon piękności*, w którym pracować miało *6 fryzjerek, 2 manicurzystki, 2 kosmetyczki i 4 fryzjerów męskich*. Lokal planowano wyposażyć w *supernowoczesne aparaty importowane z NRF ułatwiające pielęgnację włosów, ich regenerację oraz przyspieszające proces farbowania*. Oprócz tego warszawiacy mogli się cieszyć z pijalni czekolady *w dawnych pomieszczeniach spółdzielni szewców u zbiegu ulic Szeroki i Wąski Dunaj na Starym Mieście*. Gorąca czekolada w środku zimy – marzenie. Bez względu na rok.

W 1984 r.
Poprawiać też trzeba umieć

Z obiektami zabytkowymi trzeba obchodzić się jak z jajkiem – to stara prawda. Nie wolno ani podrzucać za wysoko, ani ściskać za mocno. Jak coś się bowiem stanie, to często nie ma już czego zbierać. W myśl tej zasady w styczniu 1984 r. redakcja „Stolicy" wytknęła „poprawiaczom" architektury warszawskiej pomyłki wręcz karygodne. I tak *kościół św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu jest już odnowiony – kolorowo. Fasada na kremowo, zaś kaplica Błogosławionego Ładysława z Gielniowa – na różowieńko. Pamiętamy poważną kolorystykę poprzednią tej pięknej świątyni i żałujemy jej*. Nie lepiej było ze szkołą Władysława IV: *modernistyczny gmach wzniesiono z żółtej klinkierowej cegły. To też się komuś nie podobało, więc zamalowano elewację szarą farbą olejną. Jaki efekt, radzę obejrzeć*. Dzisiaj mamy sposób na takie „efekty" – reklamy. Zasłonią wszystko – i zły kolor... i budynek.

Stare „Stolice" przeczytał i skomentował Sebastian Pawlina

Inna Źródłowa

Jarosław Zieliński

Fot. NAC

Spośród malowniczych zaułków, jakie Warszawa utraciła podczas ostatniej wojny, do najpiękniejszych należało rozwidlenie ulicy Źródłowej i ulicy Mariensztat w sąsiedztwie kościoła św. Anny. Dziś w tym miejscu można podziwiać tylko drzewa, trawniki i parkowe ścieżki, choć w pierwszych latach po wojnie specjaliści od zabytków w Biurze Odbudowy Stolicy postulowali odbudowę przynajmniej najcenniejszej, narożnej kamieniczki, przed wojną wielokrotnie utrwalanej na obrazach, rysunkach i fotografiach.

Piętrowy dom wzniesiono przed 1733 r. na stoku skarpy, toteż jego bryła uzyskała dwustopniowy układ. W tym czasie jego właścicielem był Jerzy Potocki, choć historykom bardziej był znany jako dom Czermaków – od nazwiska późniejszych posiadaczy. Mały fragment narożnika tej kamieniczki wraz z gazowym kinkietem widać przy prawym skraju zdjęcia wykonanego około 1930 r. Do Potockich należały wszystkie okoliczne grunty, co w 1762 r. umożliwiło uzyskanie przez Eustachego Potockiego, generała artylerii Wielkiego Księstwa Litewskiego, i jego żonę – Marię z Kątskich – królewskiego przywileju na erygowanie jurydyki (prywatnego miasteczka), nazwanej na cześć małżonki Maryensztadtem, czyli miastem Marii. Jedną z ówcześnie wytyczonych ulic miasteczka była widoczna na fotografii Źródłowa, której nazwa musiała się wiązać z jednym z licznych cieków wodnych skarpy warszawskiej. Podobnie jak górny odcinek ulicy Mariensztat, wąska uliczka biegła dwoma załomami. Znacznie później obie wybrukowano kocimi łbami, z nich również uformowano rynsztoki. Jeszcze spis posesji z 1770 r. informował, że cała zabudowa Źródłowej (poza wspomnianą kamieniczką) była drewniana, ale widok Powiśla z tarasu Zamku Królewskiego, namalowany przez Canaletta w roku 1773, ukazuje dwie piętrowe kamieniczki z łamanymi dachami. W 1784 r. należały do „sławetnego" Ziembickiego (późniejszy nr 8) i „prześwietnego" Kwiecińskiego (nr 10). Drugą z wymienionych osób był Józef Kwieciński, najbogatszy kupiec mariensztacki, właściciel kilku tamtejszych posesji, którego pamięć utrwala tablica na fasadzie kościoła św. Anny (wraz ze Stanisławem Augustem łożył poważne kwoty na jego budowę). Na zdjęciu, skadrowanym w kierunku rynku Mariensztatu, po lewej stronie widać szczytową ścianę kamienicy Kwiecińskiego o charakterystycznie załamanych krawędziach. Kupca wymienia jeszcze wykaz nieruchomości Warszawy z roku 1819, w którym odnajdujemy też drewniany dworek niejakiego Müllera. Budynek stał w miejscu zajmowanym na fotografii przez parterowy dom murowany oznaczony numerem 12. Pod tym samym nazwiskiem odnotowuje go już taryfa, czyli spis posesji z roku 1821.

Do połowy XIX wieku znikły niemal wszystkie budynki drewniane i całą zabudowę ulicy tworzyło kilka opisanych uprzednio kamieniczek. Dopiero około 1865 r. wzniesiono dwupiętrową czynszówkę pod numerem 4, która tworzyła jednocześnie pierzeję ulicy Bocznej, a później fragment zachodniej strony powiększonego rynku mariensztackiego. Dom ten rozebrano w 1939 r. Jeszcze później powstała wąska kamieniczka pod nr. 6. Oba te budynki, niewidoczne na fotografii, dokładnie odpowiadają lokalizacji powojennych domów przy Krzywopobocznej 3 i Bocznej 3. Wielka kamienica Leopolda Jarzyny, wyłaniająca się w głębi prawej strony kadru, powstała w latach 1911-1912. Stycznie do niej, od strony rynku, ten sam właściciel rozpoczął w 1914 r. budowę jeszcze większego domu (pod nr. 1), zapewne o siedmiu lub ośmiu piętrach. Ukończono go dopiero w 1925 – ostatecznie miał pięć pięter i mansardowy dach. Był jedynym z opisanych budynków, który w niezłym stanie przetrwał wojnę i po obniżeniu został ucharakteryzowany na typową dla obecnego Mariensztatu kamieniczkę, oznaczoną adresem „ulica Krzywopoboczna 1". Tylko wielkie otwory suteren zdradzają jego starszą metrykę. Tak więc, by mieć dziś wyobrażenie o przedwojennej ulicy Źródłowej, trzeba sięgnąć do źródeł archiwalnych.

STOLICA

Warszawski Magazyn Ilustrowany

PRENUMERATA STOLICY!

WSPANIAŁA NA PREZENT
WRAZ Z DYPLOMEM
DLA OBDAROWANEGO

Cena prenumeraty
na 2014 rok - 85 zł
(zawiera VAT oraz koszty przesyłki).

Przy wpłacie prosimy o podanie dokładnego adresu, na który ma być dostarczana STOLICA (miasto, kod, ulica, nr domu i mieszkania).

Wpłaty na konto
EKBIN Studio PR:
24 2340 0009 5330
2400 0000 0384

WWW.WARSZAWA-STOLICA.PL

WARSAW SPIRE

NOWA PRZESTRZEŃ MIEJSKA W SERCU WARSZAWY

100 000 m²
powierzchni biurowej

Przestronny publiczny
plac miejski

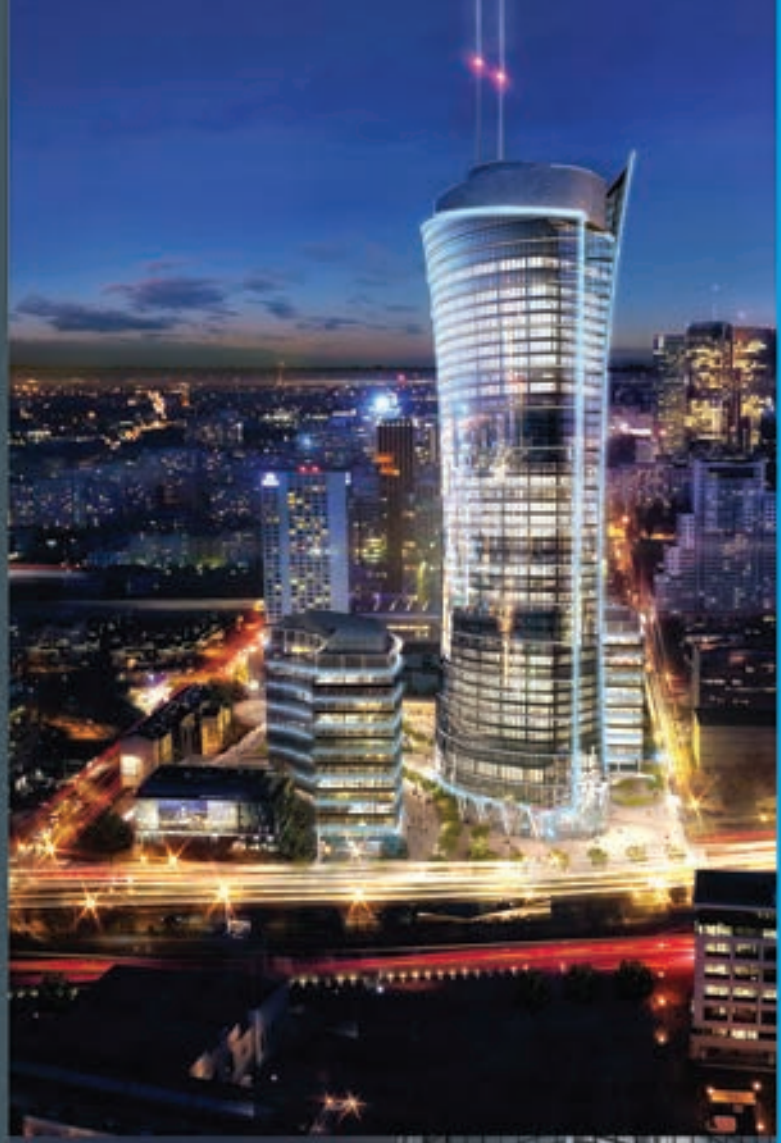

GHELAMCO

warsawspire.pl

facebook.com/WarsawSpire